



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Z pamiętnika żołnierza wielkiej wojny : nowele i szkice / Roman Hernicz [pseud.] (R. Haber) [nazwa].

Liczba stron oryginału

100

Liczba plików skanów

100

Liczba plików publikacji

101

Sygatura/numer zespołu

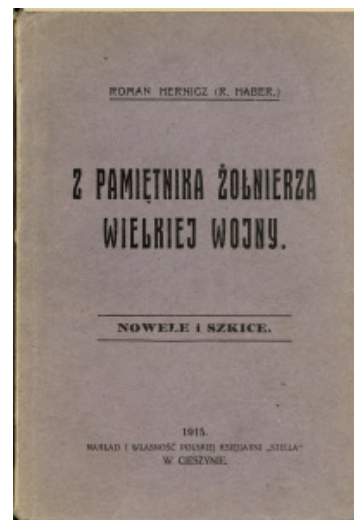
C I 034617

Data wydania oryginału

1915

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



ROMAN HERNICZ (R. HABER.)

Z PAMIĘTNIKA ŻOŁNIERZA WIELKIEJ WOJNY.

NOWELE i SZKICE.

1915.

NAKLAD I WŁASNOŚĆ POLSKIEJ KSIĘGARNI „STELLA”
W CIESZYNIE.



ROMAN HERNICZ (R. HABER.)

Z PAMIĘTNIKA ŻOŁNIERZA WIELKIEJ WOJNY.



NOWELE i SZKICE.

1915.

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ POLSKIEJ KSIĘGARNI „STELLA”
W CIESZYNIE.

884-3 SL

C.0346171

Tegoż autora wyszło:

BEZGWIEZDNE NOCE — 1911 — Poezyi serya I-sza
1913 Drukarnia pośpieszna Lwów.

MŁODA SZTUKA, — Autologia najmłodszych poetów.
— 1914. Stanisławów, nakładem „Gazety
stanisławowej“.

STACH LEGIONISTA — Opowieść z dni ostatnich. —
1915. Nakładem księgarni „Stella“.

W przygotowaniu:

DZIEJE INWAZJI MOSKIEWSKIEJ W GALICJI.



Wszelkie prawa zastrzeżone.

I.

Kiedy ogłoszono ogólną mobilizację, — uczułem jak jakieś tajemne drżenie przeszło ciało moje. — Serce zabiło mi żywiej. — Ręce same wołały o miecz.

Więc nadeszła wreszcie godzina krwawego porachunku z caratem! — Całem mojem jestestwem nienawidziłem tego państwa, gdzie knut i nahajka tłumią wszelkie uczucia i myśli.

Z rozkoszą — i jakąś cichą, wewnętrzną radością patrzyłem, jak miasto budzi się do życia nowego, do wielkiej chwili porachunku.

Widziałem, jak nieskończone fale ludzkie przewalały się przez ulice z bojową pieśnią na ustach, — z okrzykiem zapału!

Wśród tłumów byli ci, którzy jeszcze dziś upajać się mogli swobodą i wolnością. — Dzień jutrzejszy ukazywał się im w nieznanej i nowej postaci.

W tajemnej grozie szło ku nim straszne Jutro, — w purpurze krwi — w zgłiszczach — i ruinie!

Sam to uczułem po sobie. — Wiedziałem, że mię jutro przebiorą w mundur wojskowy, — da-

dzą karabin w ręce, — kilka tygodni „nauki“ — a potem — w pole!

Wszystkie moje projekta na przyszłość, — moje sny i marzenia, gasły i niknęły — wobec tej wielkiej konieczności dziejowej.

Kończyłem właśnie moją nową pracę „W promieniach miłości“. — Całą treść mojej smutnej, chorej duszy wlałem w tę książkę.

Wydawałem również tygodnik „Sztandar“.

Moje myśli, programy i ideały — przelewałem na szpalty mego pisma.

Przez ciernie, — bolące, kłujące ciernie — dążyłem do celu...

Byłem już w drodze, — marzonej mojej drodze — aż naraz...

A przecie błogosławię ten dzień, w którym rozzagwiła się wielka pożoga wojenna...

Błogosławię ten dzień...

II.

Dziś rano wydałem ostatni numer mego pisma. To wszystko, co głosiłem dotychczas, to teraz spełnię! To, o czym pisałem, co kwitło w mojej duszy pragnieniem czynu, teraz znalazło ucieleśnienie!

A jednak pierś żalem wzbierała: dziś jeszcze w ulubionej mi atmosferze, — a jutro w koszarach, — a za miesiąc w polu.

Wyszedłem wieczorem za miasto.

Sierpniowy, jasny był dzień. — Na czystym nieba lazurze lśniły gwiazdeczki cudownie!

Księżyc uśmiechał się tajemniczo...

Sam byłem z myślami moimi. Widziałem przed sobą pola cudowne, dalekie...

Cisza była wokoło cmentarna.

Ale raz po raz — przeszła mię straszna myśl, że może w tej chwili pada tysiące moich braci...

Pamiętam — snulem wtedy taką smutną strofę —

Przeminął cudny dzień sierpniowy
skończona praca — twardy znój —

cisza — upajam się przyrodą
— a moi bracia poszli w bój!

Patrzę wokoło — Tak przepięknie —
a na lazurze gwiazdek rój —

lecz boli mię ta myśl paląca,
że moi bracia poszli w bój!

Zacząłem mimowoli sobie przypominać, —
com o wojnie czytał. — Stała mi w myśli książka
Tolstoja o wojnie.

Ten krzyk protestu — krzyk bólu, — teraz
w mej duszy znalazł oddźwięk. — Mieszały się
okropne wizye Grottgera.

Wszystko krzyczało we mnie — przeciw roz-
lewowi krwi.

Ale kiedym ogarnął tę wielką Sprawę —
kiedym zrozumiał, że przecie wojna jest nam na-
rzuconą, — znowu ogarnął mię zapal wojenny!

Z głęboką miłością, zacząłem myśleć o Najja-
śniejszym naszym Monarsze, który dał nam pełną
swobodę praw konstytucyjnych.

Zrozumiałem, — ile wdzięczności jesteśmy
winni naszemu władcy.

Słowa manifestu wojennego wielkiego Monarchy, teraz w mojej duszy dźwięcznym się odbiły akordem!

I płomień zapału ogarnął mnie...

Zapraгнаłem gwaru, huku — byle uciec od tej ciszy, gdzie rodzą się myśli palące zwątpienia.

Wróciłem do miasta. — I znowu tysiące osób przewalało się przez ulice miasta, z bojową pieśnią na ustach...

Zmieszałem się w tłum.

W tej chwili czułem w sobie — siłę.

III.

Dzisiaj ubrałem mundur żołnierza. — I ogarnęła mnie jakaś niewytłumaczona, dziecinna radość. Cieszyłem się, że pójdę „na Moskale“.

Nie zważałem na rozpacz mojej starej matki. Patrzyła na mnie z kąta wzrokiem łzawym i bolesnym. — Takim wzrokiem może tylko patrzeć matka kochająca.

Ojciec mój, człowiek o stanowczej konsekwencji i niezłomnej sile woli, nie dał poznać po sobie, że cierpi.

Przeciwnie, żartami starał się przysłonić ból, na myśl, że już drugi syn odchodzi.

Siostry patrzyły na mnie wśród łez. — Wiem, rozumiem, jakie myśli się im nasuwały, — że widzą mnie po raz ostatni...

A jednak ten ból, najbliższych moich istot, nie udzielał mi się wcale!

Byłem dobrej myśli!

Dusza moja była pogodna!

Myśl, że idę walczyć o świętą sprawę, myśl
ta dodawała mi otuchy!

Śpiewałem różne bojowe pieśni!

Z radością skonstatowałem, że mój zapal
udzielał się mojej rodzinie.

Pogodzili się zapewne z myślą — że na oł-
tarzu ojczyzny — muszą złożyć ofiarę.

Kiedy już byli uspokojeni, oświadczyłem im,
że tej jeszcze nocy, wyjeżdża mój pułk w głąb
Węgier.

Miasto nasze było zagrożone. Wróg nacierał
z przerażającą siłą.

A jaki nastrój zapanował, — po moich sło-
wach, — łatwo sobie wyobrazić.

Ale twardy byłem na wszelkie czułości! —
Czułem, że żołnierzem jestem! — Że wszelkich
sentymentów wyzbyć się muszę.

Przyszła smutna godzina żegnania. — Łzy —
te piękne łzy... Moja stara matka błogosławiła mnie
ze łzami w oczach...

Nie zapomnę nigdy łez mojej matki — w tę
ostatnią godzinę żegnania!

IV.

Po kilkudniowej podróży, znaleźliśmy się
w cudownej wiosce węgierskiej.

Podróż była ciekawa i urozmaicona.

Dnie mijały przyjemnie. Śpiewami, muzyką,
dowcipami przygłuszaliśmy ból wszelki! — Mi-
jaliśmy pola uprawne, słoneczne, na których nie-

długo — królować miała Zaraza i Śmierć! Biedni wieśniacy, — ciemni, nieświadomieni — patrzyli na te wagony z żołnierzami z jakąś trwogą głuchą i lękiem...

Tylko noce były nam straszne!

Wtedy w ciemnych wagonach, pokładliśmy się pokotem na ziemię.

Raz po raz przerywało ciszę nocy, szlochanie serdeczne, raz po raz bolesne westchnienie przedzierało powietrze!

Usta wymawiały ukochane imię — pieściły się poszeptem słów swoich.

A pociąg wioził nas — wioził przez wsie i miasta, tunele i wzgórza — wioził nas daleko, w obcy kraj — do obcych ludzi, — na losy niepewne!

Czuliśmy się wszyscy jak biedne dzieci. — Bezsilne, smutne dzieci.

Pomietam, — nazajutrz rano, — podłoga była wilgotna od łez, od serdecznego płaczu.

Wstydziliśmy się tego sentymentu! — Nie mogliśmy sobie o świetle patrzeć w oczy. — A jednak w nocy — znowu to samo!

Trwoga o swoje rodziny, — niepewność co się z nimi stało!

Bo gdyśmy opuszczali miasto, wróg stał za bramami! — Czy mieli jeszcze czas nasi najbliżsi uciekać?

Trwoga o swoich była straszną

Nareszcie podróż kilkudniowa minęła. Staaliśmy w obliczu nowych, innych warunków. Trzeba już było mówić obcym językiem! — To

podziało przygnębiająco! Dotkliwie odczuliśmy swoje opuszczenie, — swoją samotność, i zrozumieliśmy, — żeśmy na obcej ziemi!

V.

U szczytu śnieżnych Tatr, położona była wioska węgierska, gdzie nas umieszczono.

Z białych szczytów płynęło w moją duszę ciche, tajemne ukojenie. Całemi godzinami wpatrywałem się w te dalekie góry.

Cuda natury działały na mnie kojąco. — Z zapalem oddawałem się ćwiczeniom. — A kiedy dzień miał się końcowi — szedłem na dalekie pola — aż pod szczyty tatrzańskich gór.

Z radością, znalazłem w tej wiosce rodzinę słowiańską. Wydali mi się ci ludzie, ogromnie bliscy. Śpiewnej ich mowy, słuchałem z zadowoleniem.

Była w tej chacie, w której zamieszkałem, ośmnastoletnia dziewczyna. Miała w oczach czar niewymowny. Kiedym patrzył w te oczy, zapomniałem, że wojna przewala się krwawą falą po świecie, — że ja daleki od mojej rodziny, — rzucony w pustkowie, — na losy niepewne!

Wpatrywałem się w te oczy w głębokim zachwycie i z głębokiego jeziora, łozu Słowianki, szło ku mnie ukojenie!

Raz pozwolił nam pułkownik urządzić Wieczór pieśni dla żołnierzy. Sam nawet odwiedził nas. — Urządziliśmy naprędce salę teatralną z małej sali szkolnej.

Przyszło także dużo oficerów. — W mundurku żołnierza czułem się bardzo onieśmielony.

Zdobyłem się jednak na odwagę. — Ja byłem „conferencierem“ wieczoru. — Pewien adwokat, obecnie najzwyczajniejszy „kapral“, recytował uciészne kawały.

Mieliśmy także orkiestrę. — Od chłopów miejscowych zebraliśmy instrumenta. — Pamiętam, — jak rozpocząłem Wieczór. — Stałem na wzniesieniu szkolnem, na którym niedawno nauczyciel wykładał tajemnice matematyki. — Głosem przeleknionym mówiłem:

Gdzieś w chwili tej wielkiej wre walka wspaniała, gdzieś w chwili tej wielkiej grzmią i huczą działa — i t. d. — — —

Nasz kochany pułkownik, którego chyba do śmierci nie zapomnę, kazał przynieść kilka litrów wina, dla „artystów“.

Naturalnie — ja rozogniony — przypadłem do trunku z zapalem, godnym innej sprawy.

Rezultat? — Domyślicie się łatwo...

Zacząłem recytować piąte przez dziesiąte — zgniotłem całą armię rosyjską — cara powiesiłem na suchej gałęzi — a długiego Mikołajewicza przełamalem na dwoje.

Była dziwna atmosfera.

Nie jeden z tych, który śmiał się pogodnie — miał jutro wyruszyć w pole — i może już nigdy nie wrócić?

VI.

Odchodziły od nas ciągle kompanie w pole.

Raz — w jesienne, cudowne popołudnie, odchodziła kompania złożona ze samych starszych ludzi! Nie zapomnę nigdy tego widoku! — Każdy z nich miał żonę i dzieci...

Szedł, aby światu nową przysporzyć wdowę i sierotę.

Pamiętam. — Łzy widziałem w oczach biedaków, łzy pałace. W oczach ich wyczytałem trwogę o los najbliższych, najdroższych istot.

Chciałem się zbliżyć, pocieszyć tych ludzi. Wiedziałem jednak, że tu słowa nic nie znaczą.

Sytuacja strategiczna sprawiła, iż po kilku tygodniowym pobycie na Węgrzech, mieliśmy się przenieść w kraje alpejskie. Trzeba było pożegnać tę wioskę piękną.

Pamiętam, — kiedym w chatce wieśniaczej, gdzie mieszkałem, oświadczył, że wyjeżdżamy, wyczytałem z oczu dziewczyny słowiańskiej cichą zadumę.

Może żal jej było, iż nie usłyszy więcej wierszy smętnych Zaleskiego, którego dumki czytałem zawsze w godzinach wieczornych w chacie słowiańskiej. Zapomniałem wtedy, że jestem na dalekiej obczyźnie. Zdawało mi się, że mnie siostry moje słuchają, wpatrzone we mnie wzrokiem, skąpanym w miłości.

Ale padł rozkaz. — Musieliśmy pożegnać wioskę i białe szczyty Tatr i z duszą pełną łzawych wspomnień znowu iść w obce, nieznane kraje!

VII.

Od gór tatrzańskich — poszliśmy w cudowne okolice alpejskie. — Stanęliśmy w miasteczku małym, przez które płynęła wielka, szumiąca rzeka.

Stawałem nad nią w posępnej zadumie...

Bieg rzeki unosił mię w przeszłość dawną, minioną, w moje dzieciństwo „sielskie — anielskie“.

Spędziłem moje lata dziecinne w słonecznej wiosce. Płynęła tam również taka wielka, hucząca rzeka. Od gór szła nieznanymi. Stawałem nad rzeką — i dusza dziecka odgadywała tajnie przyszłości. — Z żalem patrzyłem na połyskujące w słońcu fale — które szły, szły — i nigdy nie dane im było się zatrzymać. — Zdawało mi się, że te fale chcą stanąć, napięścić się słoneczkiem cudownym — a gna je jakaś konieczność surowa, nieubłagalna.

Mimowoli porównywałem siebie do takiej biednej fali! Płynę — płynę — życie gna mnie — dokąd — do jakiej przystani?

W posępnych zadumaniach, budziła się dusza moja do nowej ery życiowej.

Wybrany zostałem do kompanii, wyruszającej w pole! Miałem jeszcze trzy dni przed sobą. — Trzy dni! — Trudno to zrozumieć tym, którzy takich chwil nie przeżywali!

Wszyscy, którzy mieliśmy pójść w pole, gromadziliśmy się na ostatnie, pożegnalne wieczory.

Koledzy moi zostali mianowani oficerami i dostali znaczne sumy pieniężne.

Filozofią ich naraz stało się: żyć — użyć — bawić się — jeszcze dziś — bo kto wie, co jutro czeka?...

Pamiętam — ostatni wieczór!

W restauracyjnej sali, gdzie zbierają się żołnierze, zarezerwowaliśmy wszystkie stoliki. — Przyszli wszyscy ci, którzy nazajutrz mieli wyruszyć w pole. — Byli z nami także inni, — ci, którzy jeszcze pewien czas mieli tu pozostać.

Ogarnął nas animusz wojenny!

Pamiętam... Zanim jeszcze cudowne wino „rofosco“ zakręciło nam łby — i podwyższyło naszą temperaturę, — miałem przemowę:

„Koledzy! — Idziemy jutro, gdzie woła nas obowiązek, gdzie iść musimy; — idziemy spełnić zadanie naszego życia! Przed nami piętrzą się ogromne trudności, które pokonać musimy, — a najwyżej życie stracić możemy! — Idziemy jednak ochoczo — rażno! — Piękne to boje! — Boje krwawe, w których nasz naród budzi się do nowego tryumfu, zwycięstwa. — Idziemy — po chwałę — idziemy ją zdobywać sobie! — Idziemy po złote runo chwały!“

Wychyliliśmy potem zdrowie nasze wspólne! Potem zaczęliśmy śpiewać tę ulubioną piosenkę, w której mieści się tyle, tyle treści. — Ktoś się

nawet wyraził, że w strofach tych znajduje się epoka krwawa, którą przeżywamy:

...,Może wrócę ciężko ranny,
lub dostanę krzyż drewniany —“

Przy tych słowach młode nasze twarze kurczyły się w bólu i w męce! Bo myśmy się przecie rwali do życia...

Potem akord:

„Może uda się, że powrócę zdrów“.

I znowu twarze jaśniały nam nadzieją powrotu. — Przed oczyma naszymi, — snuł się dom rodzinny, — matka, — siostry — i umiłowane istoty najbliższe...

Przy pianinie siedział nowomianowany chorąży. Młody — dwudziestoczteroletni — chłopiec! Czarne miał włosy, czarne oczy, miedzianą cerę. — Miał sławę „pięknego wojaka“. — Lubiał życie — i czary jego! Rwał się do życia — a szumiący puchar, muzyka, kochanie były jego treścią.

Opowiadał mi o swojej nieszczęśliwej miłości — o miłowaniu beznadziejnem!

Zapóźno przyszedł — zapóźno...

Stąd się poczęła tragedia!

Teraz siedział przy pianinie i żalosne grał melodye! — Myśłami był przy niej — duszą, — całą istotą.

Nastrój zmienił się. — Stała się cisza, ogromna, uroczysta cisza...

VIII.

Nazajutrz wczesnym rankiem, zebraliśmy się na rynku małego miasteczka.

Był cudny biały dzień zimowy. — Śnieg obie-
lił perełkami świat cały.

Ustawieni w rzędy, ubrani w nowe polowe
ubrania, ozdobieni kwiatami na czapkach, staliśmy
z karabinami w ręku, czekając błogosławieństwa
kapłana.

Rynek przepelniony był mieszkańcami. Pa-
trzyli na nas z braterskim współczuciem, —
z oczu ich biła serdeczna przyjaźń, życzliwość.

Trąbka zagrała. — Komendant naszego bata-
lionu przemówił do nas, w płomiennych słowach
zagrzewając nas do czynu.

Trzykrotnym okrzykiem na cześć Cesarza,
zakończyliśmy mowę komendanta.

Potem padł rozkaz „Zum Gebet“.

Uroczysta zapanowała cisza. — Kapelan woj-
skowy pobłogosławił karabin nasz i miecz. — Mu-
zyka zagrała cichą, ukojną pieśń.

Perełki śnieżne spadały na ziemię.

Była cisza i smutek.

Niejedne oczy zabłyśły od łez...

Wargi poruszały się boleśnie! Przypomniała
się cała przeszłość minioną, — przeszłość może
bezpowrotna!

— — Bo przez salę przeszedł dech śmierci!
Widmo jej blade załopotało skrzydłami...

zyki, z półprzymkniętymi oczyma, — jednym momentem ogarnąłem całą moją bolesną przeszłość...

I naraz wykwitła w mojej duszy — ona... moja droga, umiłowana Hala!

I dziwne... Po długich tygodniach, kiedy starałem się przygłuszyć myśl o niej, bo każde wspomnienie ból mi sprawiało, teraz zakwitło jasnym kwiatem święte wspomnienie o niej.

Spojrzały na mnie jej oczy dobre, serdeczne, siostrzane...

Zdawało mi się, że umiłowane jej usta szepczą słowa: — Wytrwania!

Zapomniałem o rzeczywistości...

Perelki śnieżne, obieleły mi świat, zamroczyły mi wszystko przed oczyma.

Zapomniałem, że za chwilę idę w pole, że za tydzień, dwa — mogę zginąć marnie.

Wreszcie padł rozkaz wymarszu.

Porzuciłem sentyment!

Słoneczna postać Hali, stanęła przedemną! Chciała we mnie zawsze widzieć stalny hart, siłę woli!

Szliśmy przez ulice — rażno — ochoczo — —
To dziwne!

W takich momentach, wystarczy radosny ton muzyki — wystarczą życzenia powrotu, — wystarczą wiwaty, okrzyki, — a w tym chaosie rodzi się gorączka czynu, pragnienie sławy, żądza spełnienia wielkich, bohaterskich czynów.

Mój Boże! — Co to się działo w mojej duszy! Oparty o karabin, wsłuchany w kojące tony mu-

Szliśmy ochotnie przez ulice miasteczka, ku dworcowi.

Na dworcu było bardzo dużo osób zebranych. Zaczęliśmy wchodzić do wagonów. — Z okien rozmawialiśmy jeszcze z przyjaciółmi, którzy zostali. Ostatnie życzenia — spojrzenia — ostatni uścisk przyjacielskiej dłoni...

Potem zagrała muzyka — świst — pociąg ruszył...

Dziwne mię w tym momencie ogarnęło uczucie. — Cała świadomość, skupiła się na tej jednej, nieubłaganej myśli: Stało się...

Pociąg pędził, — unosił nas przez góry alpejskie — do Karpat, gdzie było nam dane walczyć.

Raz po raz — stanęły mi przed oczyma umiłowane moje istoty — ojciec, matka — brat, siostry.

Potem wikwitał obraz jej — święty obraz pani mego serca...

IX.

Wysiedliśmy w jakiejś wiosce węgierskiej, — położonej niedaleko od frontu bojowego. — Widziałem na wstępie ludność uciekającą w przestraszu przed wrogiem straszliwym, który całą siłą napierał.

Opuszczali ludzie swoje domy, zabytki długich lat — i szli na tułaczkę — byle ratować swoje życie!

I wtedy ogarnęła mię myśl paląca:

Co z moją rodziną się dzieje? — Gdzie i dokąd ją losy zagnały?

Na rozmyślania jednak nie było czasu!

Mieliśmy odpoczynek krótki — i czekaliśmy rozkazu.

Wreszcie nadszedł. Zaczęły się uciążliwe marsze. — Śpiewaliśmy początkowo. — Chcieliśmy w śpiewie zagłuszyć trwogę. — Wiedzieliśmy przecie, dokąd i po co idziemy.

Z piersi naszych wydobywała się pieśń, — coraz słabsza jednak, — coraz cichsza...

Znikł przedemną świat...

Przed sobą miałem białe pola — za sobą białe pola — szczyty gór tatrzańskich — a raz po raz widniały białe krzyżyki — po poległych żołnierzach.

Pierwszą moją instynktowną myślą było, kiedy i mnie postawią taki krzyżyk.

Uczucia przygnębienia doznałem, gdym ujrzał trupy końskie — a coraz większa ilość roztaczała się przed moimi oczyma.

Mój Boże! — Zdechłe konie! — Przecie to na pozór nic właściwie. — A jednak tyle smutnej treści — tyle łzawych myśli snulem...

Szedłem do frontu — a szeptałem:

„Koniu! Ani ścigłe aeroplany, ani błyskawiczne samochody, — nie wyprą cię; ty stary, nieoceniony towarzyszu żołnierza! Przedrzesz się przez gąszcze lasu, przepłyniesz przez wodę, przebrniesz grzązką oraninę, przesadzisz rowy i płoty, zaniesiesz rozkaz na miejsce przeznaczenia, a ileż

to razy losy bitew, losy tysięcy ludzi zależą od twojej zręczności i siły.

„Wszystkie przydrożne rowy szlaków wojennych, pobojuwiska, postoje artylerji i trenu znaczone waszymi trupami.

„Kiedyś, gdy umilknie szcęk broni, a przemówią Muzy — może jaki żołnierz-poeta, rzuci rymowaną wiązanek słów podziwu na groby tych swojego rodzaju bohaterów-męczenników, którzy nie wiedzą, za co cierpią i giną...”

X.

Najzaciętsze, najkrwawsze walki, toczyły się w dniach ostatnich w Karpatach.

Głowy trupów, ścielą niejedną dawną cichą, spokojną górską dolinę. Rosyane rzucają tam niezmierzone masy wojsk, aby za wszelką cenę utrzymać się mogli w górskich pozycjach.

Z epizodów walk w Karpatach, jeden nasuwa się mi na pamięć.

Było to pod N.

Ofenzywa rosyjska była złamana. Otrzymaliśmy rozkaz ścigania nieprzyjaciela, — aż do zupełnego rozbicia.

Wszędzie napotykalśmy ślady ustępującego wroga. — Rozbite wozy, kuchnie z resztkami brudnej zupy grochowej, wozy z amunicją i całe masy rzuconych karabinów — łopatk i puszki konserw.

Co kawałek drogi leżały trupy ludzi i koni,

a przy jednym wygasłem ognisku resztki konia, spożytego zapewne przez żołnierzy.

W nocy doszliśmy do oznaczonego punktu, opuszczonego już przez Moskali.

Po ustawieniu straży, by nas niespostrzeżenie nie napadnięto, — zasnęliśmy bez obawy. Na drugi dzień zebrały się kompanie wojska na końcu wsi.

Uformowaliśmy się w szerokie linie tyralierskie z odstępami pięciuset kroków jedna od drugiej. Zdawało się, że będzie można w ten sposób posuwać się bez strat. Zamiar się nie udał.

Artylerya nieprzyjacielska poczęła nas natychmiast zasypywać pociskami tak gęsto, że trzeba było plan zmienić.

Na dany rozkaz cofnęliśmy się — i wnet znaleźliśmy się w dolinie rzeki i tu opodal gościńca posuwały się nasze oddziały szybko naprzód — podczas gdy Moskale ostrzeliwali zażarcie gościńiec. — Wkrótce napotkaliśmy piechotę nieprzyjacielską w okopach, strzelających jak zwykle w powietrze.

Mogliśmy się więc bezpiecznie rozwinąć w tyraliery i czekać, jaki skutek odniesie pojedynek artylerji.

Około czwartej po południu, poczęli Rosyanie całą przestrzeń zasypywać szrapnelami. W ten sposób zegnali się z nami, bo z nastaniem wieczoru pośpiesznie się wycofali.

Na drugi dzień zniknęli zupełnie. Rowy strzeleckie były już opróżnione — tylko ziemia poryta

granatami i świeże groby, — świadczyły o ich stratach.

W krzakach znaleźli nasi sanitariusze Rosyanina, którego szrapnel literalnie na dwie połowy rozerwał.

Po wsiach napotykałszy setki ukrytych Moskali, czekających na wzięcie do niewoli. Rosyanie nie mogą patroli wypuszczać z pod dozoru, — bo te maszerują zawsze wprost do nas i poddają się dobrowolnie.

Maszerując przez las, natknęliśmy się na nieprzyjacielski batalion.

Wywiązała się znowu potyczka, w której wybitną rolę grał morderczy ogień armatni!

Wtem przyprowadza nasz żołnierz dwu jeńców. Nasz oficer był w kłopotcie, co z nimi począć, bo rezerwy były oddalone. Mówi więc do Moskali:

— Widzicie tam kopiec i lasek jodłowy?

— Tak, wasze błahorodje.

— Tam są nasze rezerwy. — Idźcie sami i zameldujcie się — a uważajcie na kule.

Obydwaj — ani myśląc o ucieczce — oddalili się we wskazanym kierunku i pozostali z naszą rezerwą do końca potyczki.

Kiedy po upływie godziny szliśmy gościńcem, z dwóch Moskali zrobiło się już czterech i liczba coraz się zwiększała.

W następnym dniu poszło jeszcze lepiej! Wczesno rano nadjechały kuchnie polowe, ale przeciwnik nie dał nam czasu na posiłek — i otworzył

gwałtowny ogień karabinowy. Trzeba było z wszystkimi rezerwami iść naprzód — i zdobyć nieprzyjacielskie rowy, wykopane na wzgórzu. — Komendant dał rozkaz, aby w walkę wdała się artylerya.

Po półgodzinnem strzelaniu artyleryi — pokryło się wzgórze brunatnymi postaciami pierzchających w nieładzie nieprzyjaciół. — Piechota nasza wzięła ich setki do niewoli.

To był doprawdy dobry dzień.

XI.

Życie w okopach ma pewne momenta radosne. Humor dyabelny, szubieniczny — panuje wtedy w całej pełni.

Ot na przykład:

Rów strzelecki z wałem, w którym porobione są wgłębienia na karabiny. — Karabiny leżą gotowe do strzału, na którym bagnet nasadzony, by lubiącego podchodzić nocą „batiuszkę“ było czem do odwrotu poprosić.

Do rowu strzeleckiego przylegają „dekunki“ czyli „wile“ oficerów i żołnierzy — a cała przestrzeń, jakby podrapana jakimiś potężnymi pazurami.

Z kominów piecyków polowych, w „dekunkach“, wydobywają się iskry i płomienie — czasami i pożar się zdarzy, gdy mieszkańcy „dekun-

ków“ wyjdą, — a od silnie rozpalonego pieca słoma się rozpali.

Nie pomoże tutaj gaszenie, — wody niema, drzewo i słoma suche. — Biedni tacy pogorzelnicy, bo zamiast wypocząć — muszą się całą noc „odbudowywać“.

Okolica cała biała — cudowna, jasna noc, a widać wszystko, jak w dzień.

Siedzimy w okopach i podziwiamy tajemniczy księżyc. — Naraz ktoś proponuje, byśmy złożyli wizytę komendantowi naszej kompanii. Projekt znalazł zwolenników. — Wchodzimy przez drzwi, zabrane z jakiegoś opustoszałego domu, na których umieścił ktoś dowcipny napis: willa „Wanda“.

„Dekung“ przedstawia małą izdebkę z okienkiem, piecykiem, stołkiem i pryczą do spania.

Zastajemy naszego komendanta przy pracy — nie przeszkadzamy mu — i przechodzimy wzdłuż rowu strzeleckiego.

Wchodzimy do innego „dekunku“, w którym mieszka dwóch wachmistrzów — plutonowy i kapral. — Urządzenie to samo, — tornistry wiszą na ścianach.

W „dekunku“ ogromna radość. — Bo oto ktoś znalazł harmonikę i wygrywa marsze. Ktoś proponuje: „Chodźmy z muzyką do innych plutonów“. Wszyscy wychodzą, — do nich przyłącza się jeszcze kilku ludzi — i cała gromada idzie wzdłuż rowu strzeleckiego. Ostrożniejsi przestrzegają, by

w drodze nie grać i nie iść wierzchem, — ale nikt nie słucha.

Posuwamy się dalej.

Moskale, jakby wymarli, — nie padnie ani jeden strzał, choć nas widać jak na dłoni!

Jakiś figlarz kompanijny proponuje, — by urządzić „szopę“ czwartemu plutonowi. Rychło plan gotowy: Obok domku, stojącego za naszymi okopami, stoi t. zw. przodek od wozu. — Figlarze przymocowują między kołami okrągłą belkę, która z oddalenia wygląda jak armata.

Zaprzegają się do „armaty“, — czterej ludzie, jako konie — obsługa ustawia się obok — i wszystko galopuje do czwartego plutonu.

Armata w galopie nadjeżdża — komendant krzyczy: „Feuerstellung“ — „konie“ wykręcają armatę lufą do „nieprzyjaciela“ — ludzie, którzy są przeznaczeni do obsługi „koni“, odprzegają je i odprowadzają — „Beobachter“ wybiega naprzód i lornetuje przez rękaw od bluzy „nieprzyjacielskie“ pozycye. — Pada komenda: 3000 metrów — granat — ognia...

Kaskada śmiechu — radosnych okrzyków, rozległa się, gdy figiel wyszedł na jaw.

I takich chwil wesołych jest dużo.

Tylko raz po raz smutna myśl, — że jutro znowu wczesnym rankiem zacznie się zwykły dzień bitwy w okopach...

XII.

Jest znak, po którym, jak po pojawieniu się czajek nad falami morza przed burzą, odgadnąć można teren wydarzeń wojennych. Znak ten wyklucza możliwość omyłki i człowiek, który już czas jakiś żył się z wojną, — przy pojawieniu się tego symptomu, — wie stanowczo, że w tej lub owej części „frontu“, rozpoczną się niebawem bitwy.

Gdy tylko na drogach pocztowych, na trackach powiatowych, na szosach, biegnących w dal bez końca, pojawiać się zaczną najpierw pojedynczo, — potem po dwie, trzy i więcej i coraz częściej chłopskie fury, zawałone domowymi skarby — znaczy to, że gdzieś może jeszcze bardzo daleko, — toczy się bitwa.

Wiem przecie, że nikt nie uprzedza mieszkańców, bo skrytość współczesnego prowadzenia wojny nie dopuszcza tego.

Ale głuchy instynkt samozachowawczy, podniecony naprężonemi, przez nieustanną trwogę wojenną nerwami, — bez omyłki podszeptuje naszemu chłopu konieczność ucieczki przed grzechem karabinów, hukiem wybuchających pocisków i całą tą straszną, okrutną grozą wojenną. Istnieje jakaś tajemnicza, nie podlegająca żadnej naukowej metodzie badania, instynktowi tylko dostępna, logika wydarzeń.

Charakteryzują ją w popularnej formie takie znane określenia, jak: „cisza przed burzą“. — Chłop nasz, związany trudami życia z żywiołami

przyrody, — umie, — nie zdając sobie z tego sprawy, łowić oznaki zmian wszelkich na długo przed ich urzeczywistnieniem.

Rozumię tę walkę wewnętrzną chłopą, gdy decyduje się opuścić, zagrodę swoją. — Rozumię jego mękę — gdy patrzy na pola — z myślą, że to może po raz ostatni, pieści się tym widokiem.

Staje chłop nasz na progu chałupy i z trwogą patrzy, jak idą żołnierze, wiją się obozy, szybko mkną sztabowy samochód, artyleria dudni po-brzękując żelaziwem, pełzają kuchnie polowe, — z powagą jadą wysoko naładowane samochody ciężarowe, — niby ogromne domy.

Chłop nasz wtedy decyduje się — i szepce ponuro do siebie:

— Czas uchodzić!

I po szosach powiatowych, po traktach pocztowych, po traktach gruntowych — jak czajki na falach morskich przed burzą, ciągną po jednej i po dwie — coraz częściej i gęściej — długie fury — a na nich dobytek krwawych lat — chłopą naszego.

XIII.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia maszerowaliśmy przez dzień cały bez przerwy. Nie było wielkich zasp śnieżnych; cała jednak okolica, pokryta była białym całunem. — Kiedy nadszedł zmrok, znaleźliśmy się na wąskiej ścieżce, — wijącej się wśród niebotycznych gór. — Późnym wieczorem przybyliśmy na szeroką dolinę. — Tuż

obok, przy gościńcu, stała skromna z kamienia i cegły zbudowana kapliczka, mieszcząca w sobie obraz Matki Boskiej. — Z pierwszych szeregów naszego oddziału wyszedł jakiś żołnierz, podbiegł do kapliczki, — oczyścił ją, a następnie wy dobywszy małą świeczkę, zapalił ją ostrożnie i ustawił przed obrazem. — W ślad za nim poszło wielu innych żołnierzy, — tak — że po upływie kilku minut, cała kapliczka tonęła w blasku zapalonych świec. — Kiedy wreszcie brakło miejsca na świeczki w kapliczce, poczęto ustawiać światło — u stóp jej wśród śniegu.

Za chwilę płonęło ich już dziesiątki, tworząc na tle białego całunu i ciemnej nocy prześliczny — pełen niewysłowionego powabu — i tajemnego piękna — widok.

Przystanęliśmy wszyscy, — bez wyraźnego zresztą rozkazu. — Ciche łzy zabiegły w naszych oczach. — Z piersi naszych wyrывały się żałosne, bolesne westchnienia. — Myślą przenosiliśmy się do rodzin naszych i domów...

Ruszyliśmy dalej... Co kilka kroków, ogłędaliśmy się za siebie, zachwyceni i wzruszeni przeducudnym widokiem. — Począł padać śnieg drobny, który zwolna tłumił płonące światła.

Z oddali widzieliśmy jeszcze kilkadziesiąt — kilkanaście światel; w końcu jedna jeszcze tylko świeca błyskająca migotliwym blaskiem na tle nocy.

Wkońcu i ta zgasła.

XIV.

W rowach się modlą. — Syn ziemi modli się —
w ziemi. — O życie prosi — żarliwie, gorąco,
błagalnie!

O tę odrobinę życia...

O powrót do domów — do rodziny.

Bitwa wre. — W okopach się modlą. — Pły-
nie szlochanie modlitewne — urywane słowa pa-
cierza — umiłowane imię, szeptane w gorączce
tęsknoty.

Ręce ściśnięte kurczowo, jak gdyby się bro-
niły przed pociskiem kul... Ciemna — deszczowa
okrutna noc... Huk granatów — grzechot karabi-
nów — świst kul — i modlitwy... modlitwy szep-
tane gorąco, żarliwie w rowach strzeleckich...

Modlą się — — modlą — —

XV.

Dnie mijają za dniami.

Płyną tygodnie. Potyczki — walki — ciągle
oczekiwanie śmierci.

Człowiek godzi się z tą myślą. — Rezygnacya
opanowuje duszę.

Co się ma stać, to się stanie.

To jest filozofia żołnierza, tam — w strzele-
ckim rowie!

Dusza czasem się rozpieśnia.

Mój Boże! — Dlaczego to taka straszna pieśń:

„Wy koledzy — dajcie ręce,

może was nie ujrzę więcej,
może wrócę ciężko ranny,
lub dostanę krzyż drewniany —
może ma mogiła stanie
gdzieś na leśnej — hen polanie — —
może uda się, że wrócę — — —“

i tu się zazwyczaj urywa pieśń.

Potem jest ogromnie cicho i smutno.

— — — — —
A najjaśniejszem wspomnieniem dla mnie —
to moja Hala jedyna.

W rozradowaniu upojnem, — patrzę, gdy mi
się jawi w rozgorączkowanej wyobraźni jej obraz.

Kiedy ręce kurczowo zaciskam... potem
wgrzebuje je w ziemię zamarzlą — wgrzebuje
w obłędnej tęsknocie...

Nigdzie może nie porywa człowieka, takie
gorące pragnienie kochania — jak tam — w połu —
w obliczu śmierci!

Jawia się chwile przeżyte z nią... budzą się
w duszy umarłe wspomnienia i człowiek tak ogrom-
nie cierpi...

I jedyne pytanie — jedyna trwoga, lęk... Czy
ja jeszcze ciebie ujrę, — moje kochanie?...

XVI.

Bo też smunte — nieskończenie smutne są
dramaty.

Mój przyjaciel, nowomianowany chorąży,

otrzymał znaczną gotówkę, jaką otrzymuje się przy mianowaniu.

Oszczędzał prawie całą pensję w polu, gdyż pieniędzy nie miał gdzie wydawać.

Raz w cudowny, słoneczny poranek, — opowiadał mi, że rodzice jego są ogromnie biedni — i że w domu nie mieli jeszcze takiej gotówki, — jaką on posiada.

— Toż to będzie radość — mówi — gdy ja im te pieniądze przyniosę.

Niestety! — Tej radości nie było mu danem widzieć.

Trafiony kulą w czoło — padł w tym samym dniu!

Albo: — Podczas marszu uciążliwego — zobaczyliśmy przed chatą samotną dziewczynę, o cudownych błękitnych oczach.

Z obłądnym uśmiechem na twarzy, — rwała jakąś nitkę na drobne niteczki...

Zbliżyłem się i zapytałem co robi.

Na moje pytania nie dała jednakowoż żadnej odpowiedzi.

Weszliśmy do chaty. — Usłyszeliśmy szlochanie okrutne.

W kącie płakała matka.

Opowiadała, że przyszli Moskale, zhańbili jej córkę, a ona musiała na hańbę swego dziecka patrzeć.

Daremnie opierała się — zasłaniała oczy, aby uniknąć tego strasznego widoku.

Związano jej ręce — i kazano nasycać się
widokiem hańbienia jej umiłowanego dziecka!

— Biedna, nowoczesna Niobe!

Ileż takich tragedyi, bólów, łez!!!

XVII.

Po dwóch miesiącach spędzonych w polu —
uległem zapaleniu płuc.

Leżałem w szpitalu.

Gorączka trawiła mię, — odbierała mi przy-
tomność.

Przy mnie była dobra siostra — Marta. —
Działała na mnie kojąco. Umiała cichym, dobrym
głosem mówić o wszystkim. Kiedy nareszcie
przyszedłem do siebie — i odzyskałem przytom-
ność, — pierwszą moją myślą było: Gdzie Hala?

Rozpacz bezbrzeżna...

Ból, męka ogromna.

Raz o szarej godzinie, — siadła siostra Marta
na krawędzi mego łóżka i wypowiedziała mi cichą
tragedyę swojego życia.

I jej się jawił Eros słoneczny — i przed nią
życie roztaczało swe krasy.

Wszystko to było złudzeniem.

Niewiara, sceptyzm i cichy, smutny uśmiech
został w duszy zawiedzionej Marty. — Odtąd myśl
o własnem szczęściu zanikła u niej. — Zapragnęła
życie swoje poświęcić tym, którzy smutni i nie-
szczęśliwi,

Opowiadałem siostrze Marcie — o mojej tragedyi. Przrzekła pisać, szukać i nowinę mi przynieść o Hali.

Zagadkowy jednak uśmiech ukazywał się na jej twarzy, — ilekroć o tem mówiła.

A mnie żarła tęsknota do niej — do jedynej pani mego serca.

XVIII.

Raz przyszła siostra Marta blada, niespokojna do celi szpitalnej. — Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem. We wzroku tym przebijała się litość i współczucie. Zapytałem:

— Co jest? — Mów siostro.

Odrzekła drżącym głosem:

— Nic... nic...

Alem ja zrozumiał, że zaszło coś nowego. Siostra Marta patrzyła tylko smutno we mnie.

Nalegałem, prosiłem.

— A nie będzie płakać? — pytała pieszczotliwie, głosem matczynym.

— Nie! Tylko mów!

Domyśliłem się jakiegoś nieszczęścia.

A siostra Marta rzekła cichym szeptem:

— Nowinę mam smutną. — Twoja Hala została żoną innego.

Kiedy usłyszałem te słowa, rozwarła się przedemną czarna otchłań. — Czułem jak w tę otchłań leczę... Serce bije gwałtownie — mózg

ławą piekącą zalany... rozpaczliwe: „Jezus — Marya“ — krzyk — oddech trudny... straciłem przytomność.

Co się potem stało — nie wiem.

XIX.

W długich samotnych godzinach dusza moja zahartowała się w bólu.

Raz po raz tylko siostra Marta dobrymi, serdecznymi słowami starała się zmniejszyć moją rozpacz.

Nie wiedziałem, w jaki sposób dać Hali znak życia o sobie. Do domu do niej pisać nie chciałem, — bom wiedział, co może być konsekwencją tego listu.

Więc wiedząc, że przebywa w Krakowie — napisałem „List żołnierza“ i drukowałem go w dzienniku krakowskim, który stale czytała.

List, przesycony smutkiem i rezygnacją brzmiał:

„Moja Halu!

Jest teraz szara, przesmutna godzina. — W pobliskim kościółku dzwonią dzwony posępne, żalotne melodye! — Echo dzwonów wlewa się kipiącą, bolesną falą w moją duszę. Jestem smutny i chory.

Leżę w gorączce i majacząc...

Śnią mi się pola i łąny pachnące — i ten ugór — pamiętasz Haluś — ten ugór czarny, gdzie-

śmy przytuleni do siebie śnili sny o dalekiej przyszłości.

To przecie tak niedawno jeszcze...

Niema nawet sześciu miesięcy. — A jakie bolesne zwałisko naszych snów, naszych marzeń!

Teraz leżę z oczyma utkwionemi w sufit i myślę, czemu to życie takie złe i brutalne.

Więc nie mogłaś czekać... Nie... nie... to było inaczej! Mówiono Ci, że w wojnie poległem. Znalazłaś się sama, biedna, smutna sieroteczka. — Wyszłaś za męża...

Powiedział, że da Ci dach nad głową i zapewni Ci wszelkie wygody. — I poszłaś za nim.

No tak... Przecież instynkt samozachowawczy przezwycięża wszystko!

Tylko ta pierwsza wiadomość! — Ona na mnie tak strasznie podziałała!

Rozwarła się przedemną ciemna, straszliwa, bezdenne otchłań.

Odtąd mój stan się pogorszył i leżę jak smutne dziecko, na barłogu szpitalnym. — Chciałbym płakać na moją dolę, na moje opuszczenie, na moją samotność. — Raz po raz majaczą mi się cudowne, minione chwile naszego miłowania. — Były one czyste i niewinne, a unosił się nad nimi smutek serdeczny.

Pomnę, Haluś, przysięgi Twoje, — zaklęcia...

Nie dotrzymałaś ich, — nie winię ciebie! Nie chciało życie, abyś była moją.

Odeszłaś mnie... Zdruzgotałaś...

Może tam uśmiechnięta, — wspominasz romantyczny epizod.

Ja myślę o Tobie... myślę i płaczę, — na barłogu w celi szpitalnej.

— — — — —

Może zwaryuję jutro.

Ubiorą mi kaftan, — odeszłą w mury ponurego szpitala. Tam zakończę życie. — Minie pamięć o mnie... Bo któżby tam pamiętał o żołnierzu, co zmysły stracił w obłędnem szukaniu miłości.

—Mój Boże! — Byłaż to miłość?

Nie! nie! To było okłamywanie, to było łudzenie, roztaczanie słonecznej krainy szczęścia, do której mi nie danem było wejść.

— — — — —

A może pójdę w krwawą walkę.

Może w kurzawie dymów armatnich, — odrodzę się do nowego życia, — albo też zginę mężnie, z uśmiechem na ustach, że spełniłem swoje zadanie!

Może znajdę nowe wartości życiowe — tam w mieczów chrzeście — w ogniu dział — w obliczu majestatycznej śmierci.

— — — — —

Odchodzę od Ciebie z błogosławieństwem na ustach.

Błogosławię Cię — Haluś! — za chwile cudne, jakieś mi dała — za sny, jakie mocą Twoją zakwitły jasną bielą w mojej smutnej duszy.

Błogosławię Cię — Haluś — i ostatnią moją cichą prośbą: Wspomnij o mnie.

Wspomnij o mnie — bo ja zawsze przy Tobie myślami, — mimo wszystko.

Teraz jest szara, smutna godzina. Do Ciebie myślami dążę — do Twojej drobnej twarzyczki, do Twoich rozśmianych słodyczą oczu.

Czy ja Ciebie jeszcze ujrzę — Haluś?

Bądź zdrowa — szczęśliwa — o mnie mniejsza.

Moje życie i szczęście stracone na zawsze! Przedemną już tylko śmierć — i obowiązek żołnierza. — Bądź zdrowa!

XX.

Zaczął się czekanie gorączkowe, chorobliwe! Na jakąś wiadomość — na odpowiedź — na słowo od niej!

Minęło jeszcze kilka tygodni.

Siostra Marta, pocieszała mię jak mogła. Ale obowiązek żołnierza mię wołał. — Miałem już wyznaczony dzień, w którym musiałem opuścić szpital — i z powrotem udać się do pułku mojego.

Przyszła smutna godzina pożegnania z siostrą Martą.

Hartu i siły woli życzyła mi.

Kiedym spojrzał raz ostatni na tę celę szpitalną, gdzieś tyle przeżył cichych a głębokich smutków, żał mi się zrobiło za tem sanctuaryum mojej żałości.

Opuszczałem mury szpitalne z niepewnem uczuciem: — cu jutro przyniesie?

Kiedy po uciążliwej podróży dostałem się do pułku naszego, przyjaciele moi przywitali mnie entuzyastycznie!

I znowu w tym gwarze, chaosie — spływały na moją duszę, dobroczynne fale ukojenia.

XXI.

Obowiązek powołał mnie znowu w szeregi. — Przyszedł dzień, kiedy miałem drugi raz wyruszyć w pole. — Wzruszenia, jakich doznałem, gdy po raz pierwszy szedłem w bój, — teraz znikły zupełnie! — Tylko jakieś harde uczucie, że idę spełnić co do mnie należy, przepełniało mi duszę.

Przed wyruszeniem w pole wysłałem jeszcze list do Hali, której adres dokładny otrzymałem.

Przy pisaniu listu, nasuwały mi się dziwne myśli o psychologii żołnierza dzisiejszego.

Miłość — i krew... miłość i krwawy bój...

Nawet w obliczu śmierci, — nie można zapomnieć swego miłowania.

Pisałem:

„Haluchno...

Odchodzę drugi raz w bój — i dziwne uczucie opanowuje mi duszę, że po raz ostatni piszę te słowa, po raz ostatni myślami odnoszę się do Ciebie!

Zginę teraz Haluchno! — Zginę i nie zamęcę więcej ciszy Twojej, — nie zachmurzę Twego czoła.

Żyj szczęśliwie Haluchno — żyj radosna,

w promieniach słońca — boś Ty sama światłem była krasnem.

Przyjm, Haluchno, ostatnie ciche błogosławieństwo, od smutnego żołnierza.“

Kiedy list wrzuciłem do skrzynki — zdawało mi się, żem popełnił zbrodnię.

I poco mam macić spokój mojej umiłowanej Pani —?

XXII.

W polu jestem już dwa miesiące. — Jest dużo potyczek — walk — a na jutro zapowiada się krwawa bitwa.

Najpewniej będzie szturm.

To ma być wielka, rozstrzygająca walka! Chodzi o ważne pozycye.

Nastąpi krwawy bój!

Myśli się mącą. — Gore w mej duszy — w sercu!! Płonę!! — Do ognia — do walki!!

Czemu to zachodzące za górami słońce, uśmiechać zda się, głębokim — beznadziejnym uśmiechem...

Zda się, — mówią promienie słoneczne!

Patrzy w nas, — pieści się naszym widokiem, — bo to może po raz ostatni.

Co to ma znaczyć?

Złe przecucia szarpia mię — ale sam płonę do walki, — do boju!!

Na tem urywa się pamiętnik.

— — — — —
Znajomy medyk, sanitaryusz, dał mi pamiętnik
żołnierza. — I rzekł smutno:

— Dokończ sam. — W ów smutny dzień,
który głuchem przecuciem jawił się w jego du-
szy — brał udział w szturmie — i oślepl!

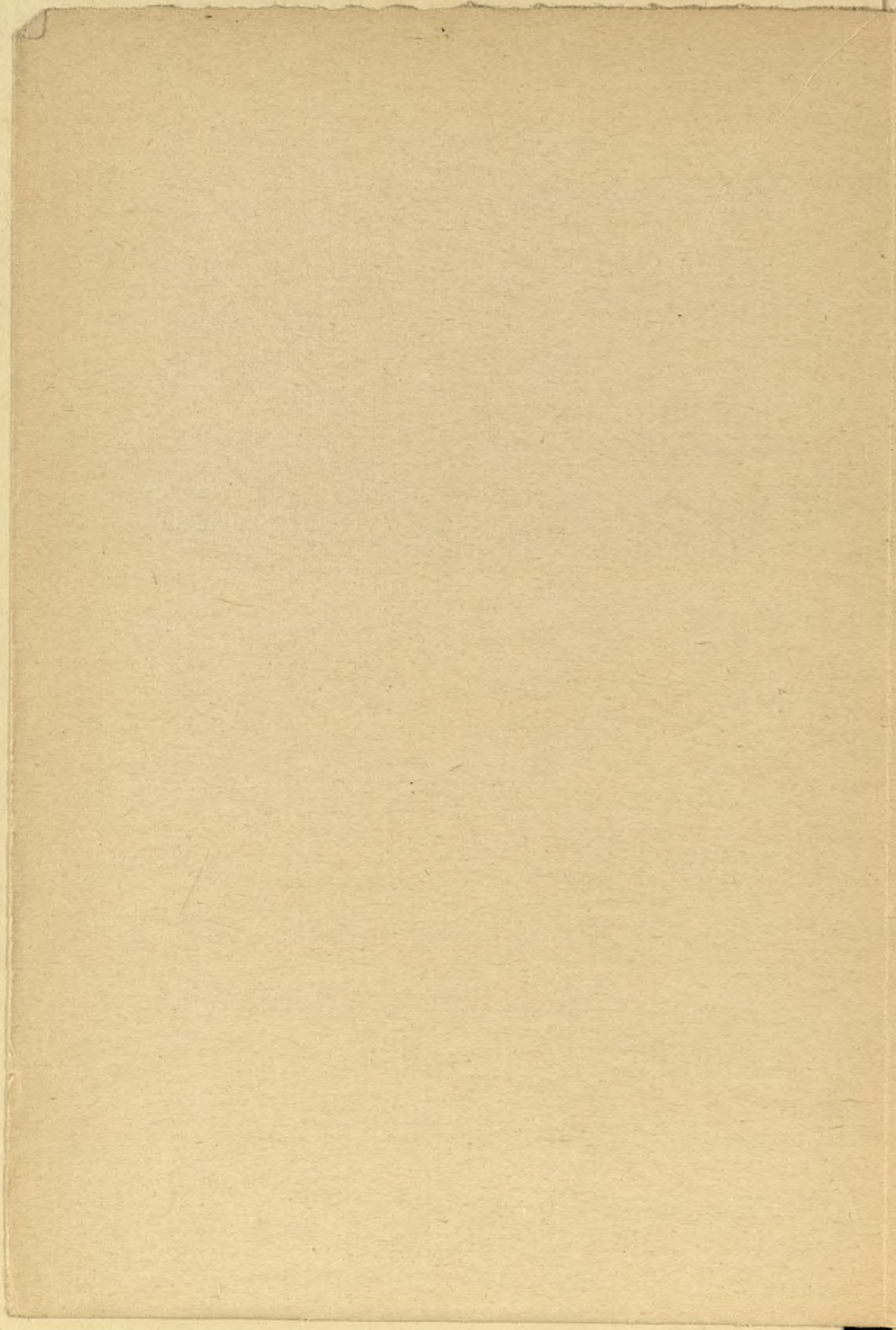
— — Oślepl — —

— — — — —
O biedny żołnierzu — biedny synu ziemi,
z wzrokiem ośleplym — ze sercem złamanem
i duszą nieskończenie smutną!

O biedny żołnierzu — straszną jest twoja
tragedya, — ale czemuż ona, wobec tego wielkiego
dramatu świata?...

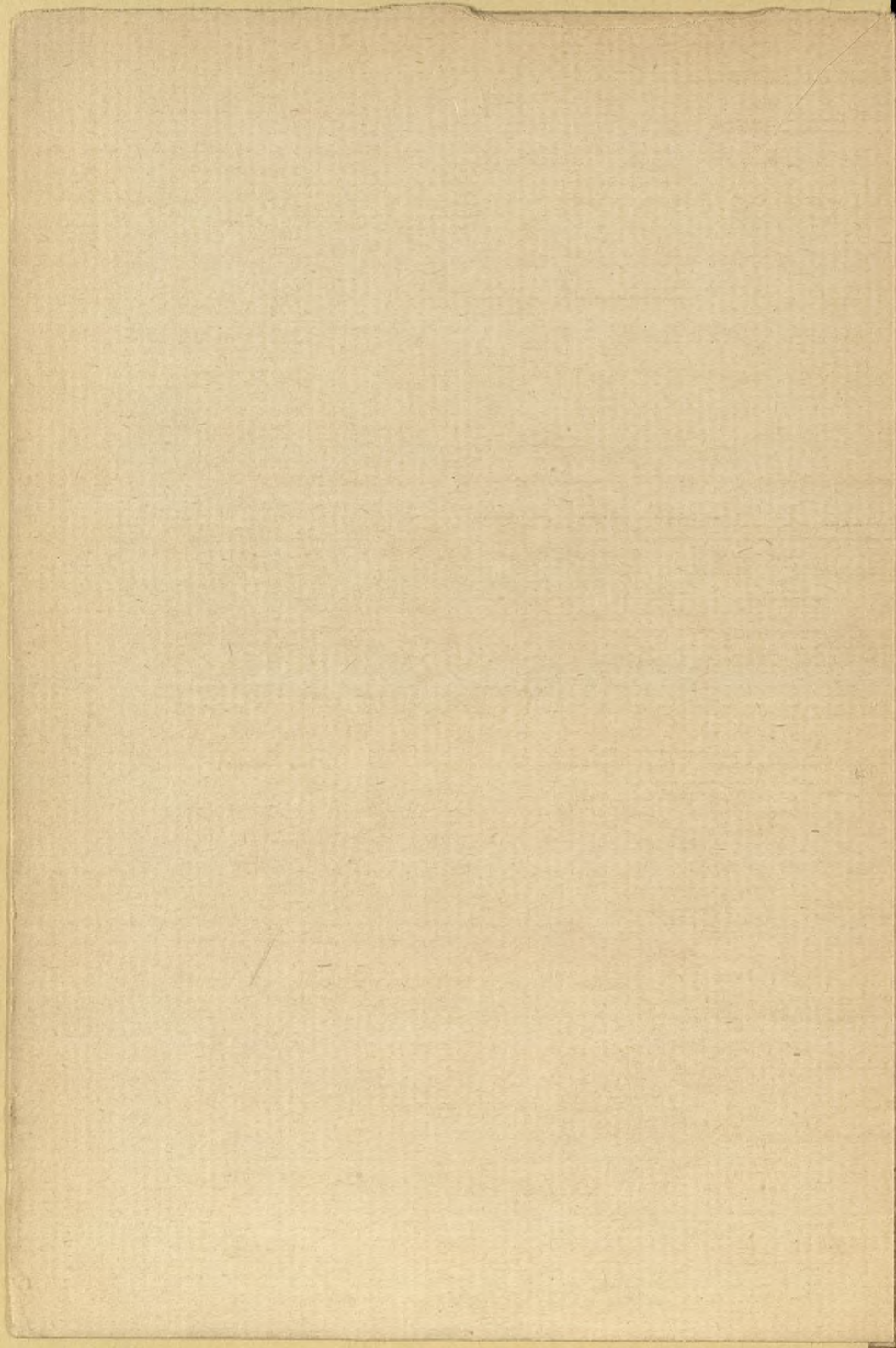
O biedny żołnierzu!!





NOWELE i SZKICE.





Jadysz Greger

Śnieg.

(Obrazek ze wsi polskiej z dni ostatnich).

Katarzyna, żona Sołtysa, szła z trudem, przebijając się przez nieskończone zaspy śnieżne. Perłki srebrne obieleły pola wokoło, tworząc malowniczy widok.

Katarzyna szła, przybita jakimś niezmiernym smutkiem. Wczoraj opowiedziała jej sąsiadka, że mąż jej zginął na wojnie.

Zamknięta zawsze w sobie Katarzyna, nie wyraziła swej rozpacz, spojrzała tylko niemem spojrzeniem na opowiadającą, poczem oddaliła się bez słowa i tępych krokiem podążyła ku swemu domowi.

Po bezsennej, strasznej nocy, kiedy myślami krążyła jedynie około tej okrutnej nowiny, zerwała się Katarzyna wczesnym rankiem z postanowieniem udania się do miasta, ażeby tam dowiedzieć się dokładniej o wszystkim. Przedsięwzięcie to okazało się jednak cięższem, aniżeli sobie wyobrażała.

Bo kiedy w mieście odnalazła po długich

trudach koszary wojskowe, powiedziano jej, że nie znają Piotra Sołtysa, jej męża.

Nie otrzymała również wiadomości na policyi. Rozjaśniła się dusza Katarzyny uczuciem, że ta straszna nowina jest kłamstwem. Ale wkońcu po długiem wędrowaniu, wskazano jej wysoki, czteropiętrowy budynek z obszernymi schodami.

Katarzyna weszła do środka, a jeden z panów wskazał jej arkusz papieru, gdzie było bardzo dużo nazwisk drukowanych, a między niemi było widoczne: „Piotr Sołtys zabity“.

Katarzyna przeczytała to głośno i dziwiła się sama sobie, że usta jej mogły coś podobnego wypowiedzieć.

Potem pokazał jej jeden z panów urzędowe potwierdzenie, a nawet powiedział jej, w którym dniu umarł jej mąż, Piotr Sołtys. Minęły już cztery tygodnie. W tem było już wszystko powiedziane.

Katarzyna patrzyła tępo w dal, nie mogąc z ust słowa wydobyć. — Wzruszył się ów pan i zaczął jej tłumaczyć, że przecie mąż jej zginął dla ojczyzny.

Katarzyna zbudziła się naraz z zadumy i zrozumiała, że jej iść potrzeba.

Mechanicznie otworzyła drzwi, mechanicznym ruchem je zamknęła i udała się do wróżki, która zawsze rozumiała jej dolę i dokładała starań, by Katarzynę pocieszyć.

Ale gdy Katarzyna weszła do mieszkania

wróżki, nie odezwała się ani słowem, — patrzyła tylko nieskończenie smutnym wzrokiem w twarz wróżki.

— Mówże coś na miłość Boga, — zawołała wróżka.

Katarzyna jednak nie ruszała się z miejsca, oparła tylko głowę o rękę — i bezmyślnie w dal patrzyła.

Wróżka wstała od stołu, zbliżyła się do kuchni, zagrzała mleko — poczem stawiając filiżankę ciepłego napoju przed Katarzyną, — prosiła, aby się posiliła.

— Pij Katarzyno! To cię wzmocni! — Masz tu chleb. Pewnieś głodna. Zaraz już ciemno, a ty masz taką długą drogę do przebycia.

Ale naraz Katarzyna zerwała się z krzykiem, narzuciła chustkę i jakimś podniesionym, chorym głosem mówiła:

— Nie mogę! Muszę jeszcze kolację przygotować. Piotr prosił, abym mu kolację —

Urwała.

Łzy zdusiły dalsze słowa w gardle. Spojrzała tylko na wróżkę długim, smutnym wzrokiem, pełnym łez — i odeszła.

Szła przez dalekie pola ku swemu domkowi. Mózg ciągle gorączkował, — przewalały się w jej wyobraźni potworne wizye — a nogi mechanicznie poruszały się dalej.

Jakże to mówił do niej, ów pan w mieście? —

Że musi ten cios znieść, że nie jest jedyną. — Tak jest — miał słuszość.

Przecie jej sąsiad Antoni poległ także. — Ale żona została z dziećmi — więc nie tak jak pies samotna! — Małżeństwo to zresztą nie było szczęśliwe...

A ona tak kochała Piotra!

Gorącą, ofiarną miłością, kochała Katarzyna swego męża. Piotr umiał ocenić jej miłość i odwzajemnić się jej również gorącym kochaniem.

Pięć lat żyli w nieskończonem miłowaniu — w cichem szczęściu. — Ale teraz przyszedł kres — kres wszystkiego, bo Piotr już nie żył.

Katarzyna stanęła.

Przed nią noc — cisza... Instynktownie szeptała:

— Piotr mój z a b i t y.

Ogarnął ją naraz strach. Zimny pot oblał jej ciało. Oglądnęła się za sobą z trwogą. Kto to powiedział? — Kto to straszne słowo śmiał powiedzieć?

Ale wokoło była noc — i cisza cmentarna. Tylko perełki śnieżne leciały na ziemię. Katarzyna nie czuła nawet, jak ciężko było brnąć w głębokim śniegu. Nie odczuwała nawet zmęczenia.

A tak jeszcze daleko było do jej domku.

Domek!

Już nigdy go Piotr nie zobaczy!

Ani tych drzew nie ujrzy stojących pod domem, na które był zawsze tak dumny. Niczego nie zobaczy już więcej.

Zabity — wyrzekła znowu instynktownie, i przelekła się swego głosu, który rozbrzmiewał w ciszy, jak echo żałobnego dzwonu.

Czy jeszcze daleko było do domu?

Nie wiedziała, jak długo już szła. Czuła tylko dotkliwe zmęczenie.

Gdyby tak usiąść w śniegu, na chwil kilka? — Tylko chwileczkę odpocząć, — potem pójdzie dalej.

Siada w śniegu głębokim... Naraz ręce wyciągnęła rozpaczliwie, chwytając obłądnie coś rękoma.

— Piotr! Jej Piotr — w świątecznym ubraniu, z fajką bursztynową w ustach.

I jaki słodki uśmiech na jego twarzy, jaki dobry uśmiech...

Przecież on nie był zabity! Stał żywy przed jej oczyma.

Nie... szczęście — bezkresne szczęście! Piotr... jedyny jej Piotr przed jej oczyma — Opo-
wiada mu cicho, coraz ciszej o swej tęsknocie, męce i trwodze.

Nie czuła jak kostnieje z zimna — tylko mówiła coraz cichszym szeptem, z Piotrem. Jawił się jako żyw...

— — — — —

Siedziała w śniegu — zapatrzona w wizję... a płatki śnieżne spadały, leciały... okryły las wokoło i pola, te białe, śnieżne perełki... i utuliły, utuliły w białą szatę śmierci i pokoju biedne serce Katarzyny.

Z cichych tragedyi.

— Henryku! Henryku!

Ostatnie westchnienia — ostatnie słowa —
ciche posłanie dusz — posłanie ostatnich myśli,
mąk, bólów.

Pociąg ruszył.

Nela została sama na peronie, — i długo wo-
dziła wzrokiem za ruszającym w nieznana dal po-
ciągiem.

Już Henryk wyjechał...

Stała tak długo na dworcu, jak skamieniała!
Ból ją obezwładnił, odebrał jej siły. Po długiej
chwili ruszyła się z miejsca. — Stołeczne, wielkie
miasto huczało. Ruch panował ogromny.

— — Zwyciężymy.

Czytać to można było z ócz młodzieńców,
wyruszających w bój z krwawym caratem.

— Zwyciężymy.

.

Mijały dnie.

Aż raz usłyszano w stołecznem, wielkiem
mieście huk strzałów armatnich.

Serca mieszkańców ogarnęła trwoga bez-

kresna. A przemoc tak wielka nadeszła, że wojska broniące stolicy, zmuszone były cofnąć się. Wśród ludności zapanowała trwoga. — Zaczęto uciekać, opuszczać miasto. — Zostawiano domy, — dobytki długich lat — i opuszczano miasto, gdzie wróg miał jutro szaleć.

Bezdomni odchodzili w nieznana dal, — niesieni przez burzliwe fale dziejowych wypadków.

.....
Późną jesienią, w mroźny poranek, szła ulicą węgierskiego miasteczka Nela, pogrążona w głębokiej zadumie.

Myśli jej latały ku niemu — ku Henrykowi, który gdzieś w nieznanej dali spełniał obowiązek wobec ojczyzny.

Myśli kłębiły się w jej głowie.

Tyle wrażeń — tyle przeżyć!

Stała nad rzeką — i w cichej zadumie spływała ku niej fala wspomnień.

Zajaśniała w jej duszy chwila poznania Henryka. Trzy lata — okwiecone były ich serca cichą jaśnią ofiarnej miłości.

Śnili o swoim życiu przyszłym, — roztaczali czar tych przyszłych dni...

A dziś...

On gdzieś daleko, — z bronią w ręku — — a ona wygnanka, na ziemi obcej, — z sercem pełnem tęsknoty i łez.

.....
Henryk dowiedział się wreszcie o adresie Neli,

Napisał jej list, wypowiedział w nim mękę swoich tęsknot.

Kończył właśnie oficerską szkołę, niezdługo już miał zostać mianowany oficerem, miał iść w pole i krwią swą okupić zwycięstwo przyszłej sprawy.

Pisał jej, że znajduje się obecnie w cudnej mieścinie styryjskiej u stoku alpejskich gór.

.

Raz w słoneczny, zdrowy dzień zimowy, zesła w smutną duszę Henryka radość bezmierna.

Radość, nie znająca granic! Ziszczenie najśmielszych snów, spełnienie odległych marzeń.

Nela — jego Nela, była przy nim.

Czystym błękitem oczu ogarnęła Henryka zmężniałego wśród trudów wojskowych. — Posypały się słowa, pełne tęsknot — wrażenia, przeżycia chwil tych długich, ciężkich bolesnych. — Zdawało im się, że nie zaszło nic. Ogarnięci bezmierną radością spotkania, zapomnieli o krwawej wojnie — o tem, że bezlitosny los rozdzieli ich znowu za chwilę. Czuli tylko, że są przy sobie, że się odnaleźli — i z serdecznej spowiedzi kochających dusz płynęła ku nim cicha fala ukojenia.

Henryk nie myślał teraz o tem — że to witanie Neli jest również pożegnaniem, żegnaniem żalosnem, — może na wieki.

Stali nad wielką rzeką, której fale płynęły majestatycznym, cichem szemraniem,

W srebrnej tafli — wśród jaśni słonecznej,
odbiły się ich postacie.

Kochające się dusze — stały oto blisko siebie — witały się — i żegnały zarazem.

List z celi szpitalnej.

Kochany mój Bracie!

Sala szkolna... wielka, jasna sala o trzech ogromnych ku wschodowi zwróconych oknach. — Słońce wiosennego poranku zagląda do wnętrza..., promienie jego złociste, po długim niewidzeniu się, po długiej, ciężkiej zimie, witają się radośnie z główkami chłopięcemi, — zanurzają się z miłością w ich loczkach, całują oczęta, zdziwione, radosne... Jasne, skrzydlate smugi, co z wysokości niebiańskiej zleciały, rozświecają czarniutkie ziarnka druku na białych stronicach książek, — ciekawe, jakie to też z tych ziarenek roślinki zakiełkują i kwiaty wykwitną w wiosennych duszyczkach dziecięcych...

W uśmiechniętem zadowoleniu złożą złoty, przeciągły całunek na wysokiem, poważnem czole nauczyciela, który w tych główkach boże zapala światełka...

Otwieram oczy...

Czemu te promienie, te blaski i smugi znikły tak szybko?

Czemu się tak nagle cofnęły boleśnie, zdziwione, strwożone?

Gdzie się podziały te dwa długie rzędy ławek — równiutkie, piękne grządki, gdzie rosną główki dziecięce? — Gdzie dzieci gromadka wesoła, oklaskami rącząt witająca słońce wiosenne, — wyciągająca ramiona po promienie złote, niknące w wysokich chmurach? Gdzie ten, który do tych dzieci przemawiając, — może nieraz zamilkął nagle i w ciszy łowiąc duszą — echa cudnej bajki własnego dzieciństwa — przymykał oczy — przykrywał je ręką z cichem westchnieniem?

Tablica szkolna na stopniu stojąca — od dawna kredą nietknięta, — opuszczona, — ostro się odrzyna czarną taflą od białego tła wysokiej ściany.

Jedna tylko ławka mała, na dwa siedzenia, — przy żelaznych prętach pośrodku stojącego łóżka.

Skąd łóżko w szkolnej sali?

Łóżek dwadzieścia jest tutaj! Jedno przy drugim, z białych desek zbite, — dziesięć wzdłuż jednej — ośm wzdłuż drugiej ściany, — dwa zaś pośrodku żelazne.

Leżą na nich, pod białymi dekami, chore biedaki żołnierze...

U każdego wezgłowia czarna tabliczka, gdzie na gwoździu zawieszona długa „kopfcetla“ zdradza nazwisko chorego — i stan gorączki, najmniej dwa razy dziennie mierzonej.

To cela szpitalna...

Nie dziwię się — o słońce wiosenne — popłochowi i ucieczce Twoich złocistych promieni.

Niech nie zaglądają tutaj twoi gońcy — posłowie twoi skrzydlaci...

Niechaj bieda, nędza, choroba — pozostaną w cieniu, — ukryją się w mroku — —

Oczy nasze rażą boleśnie te zalotnie wdzięczące się, naigrawające się blaski świetlane i o wiele miłsza jest dla nas dobrotliwa litość ciemno zielonawego światła, elektrycznej gruszki, świecącej miłosiernie przez całą noc, gdy się wielka i gwarna kasarnia uciszy — i tylko słyszeć ciężkie oddechy, jęki, stęki, ataki suchotniczego kaszlu chorych.

Leżę wtedy z otwartymi oczyma — na wznak, spać nie mogę — myślę — patrzę...

Łóżko moje na wysokości stopnia — w kącie, przy ścianie — —

Obejmuję stąd wzrokiem całą salę — widzę wszystkie łóżka i chorych.

Tutaj leży żołnierz z boleśnie reumatycznymi nogami, które stapały kiedyś po ziemi Serbów.

Przy nim długi, chudy, blondyn — z wysoką, ostro najeżoną czupryną, — wyzywającą do boju wszystkich wrogów, — biedak, któremu nic jeść nie wolno, tylko pić zimne mleko — tam w kącie kilku suchotników, cierpliwie wykaszających do noculków krwawe kawałki płuc.

Na środku leży w bandażach bez ruchu tajemniczy filozof, który przedwczoraj o godzinie jedenastej w nocy, w napadzie absolutnej mądrości, — rzucił się z drugiego piętra — na bruk podwórza. — Niestety jednak chciało — że w tym dzielnym locie do „lepszego świata“, ude-

rzył o podstępną, zdradziecką ławkę. Rozbił ją przynajmniej w złości, — roztrzaskał na trzy części, ale sam pokonany, obudził się następnego dnia — w celi szpitalnej.

Zebrana komisya śledcza nie mogła się nic od niego absolutnie dowiedzieć. — Milczały zacięcie usta skrwawione...

Chorzy się tu często zmieniają. — Jedni odchodzą, drudzy nowi przychodzą.

Znajdzie się i taki, który tylko pokosztuje, jak tu jest — i zaraz odstąpi miejsca drugiemu...

Są nawet łóżka opróżnione, które i kilka dni czekają... Tak — przy mnie, w najbliższym mojem sąsiedztwie — tuż przy stopniu, jest łóżko, które czeka.

Ale wiem, że już nie położy się tutaj taki miły towarzysz, jakim był Dmytro Hołodiuk z Harasymówki, Horodeńskiego powiatu.

Przed tygodniem jeszcze mnie opuścił — i żał mi za nim...

Kiedym tu przyszedł — leżał już. — Od dawna tu leżał!

Zawarłem z nim odrazu znajomość, — bo mi się bardzo podobały jego oczy.

Ciemne, dumające — to nagle jasne, — słodko i dziecinnie śmiejące się oczy...

Rumiane zdrowie młodej twarzy klóciło się z brudną chustką, wiążącą wysokie czoło.

W jednym szturmie — a było to jeszcze w sierpniu — przy tem pamiętnem zaćmieniu słońca, Moskał na odległość pięciu kroków, z okrzykiem: „Ty jeszcze żyjesz?“ strzelił mu w twarz.

Kula trzasnęła poza uchem — ogień tylko, proch, dym osmalił twarz — huk uderzył w mózg!

Twarz się później wygoiła — ale mózg boli do dzisiejszego dnia...

Gdy głowa się rusza — rusza się i mózg i silnie, boleśnie na czaszkę napiera. — Dlatego czoło silnie związane chustką, która zresztą nie wiele pomaga.

W polu był 3 miesiące. Dopiero gdy „hizla od szrapnela“ uderzyła go w kość pacierzową — skruszyła jeden czy dwa pierścienie — wtedy wrócił...

Był dwa miesiące w szpitalu — w Budapeszcie, — potem w „rekonwalescentenheimie“, — skąd nareszcie wrócił do swojej kadry — do „cymbry marodów“.

I tu moja z nim znajomość, o którejbym się tyle nie był, mój Bracie, w liście rozpisał, gdyby nie jego osoba tak piękna, gdyby nie jego opowiadania cudowne, gdybym go nie był odrazu pokochał.

Dwudziestosiedmioletni chłop — rozrosły jak dąb, — a naiwność, szczerłość, prostota, uśmiech — i słodycz dziecięca!

Dużo mi opowiadał...

Przedstawił mi całe swoje życie...

O matce swojej mi mówił, o ojcu, o jego śmierci — o szkole — o zamiłowaniu swoim do nauki — o nauczycielkach — o tem jak się nauczył sadzić i szczepić drzewa wszelkiego gatunku, jak go potem matka całowała i sąsiedzi się dziwowali,

gdy pięknie drzewa owocowe w ogrodzie zakwitły. — Opowiadał, jak bardzo chciał się dalej uczyć, — pójść do gimnazjum, jak stary ksiądz bardzo do tego ojca jego namawiał, — o swojej „asyntyrze“, rozstanie się z matką, — o tęsknocie do wsi, — do domu...

Darmobym się silił powtórzyć jego opowiadania — oddać ich prostotę, oryginalność i czar.

Postać, jakby z pięknej jakiejś powieści — —

Ta jego cicha modlitwa, z powolnem, skupionem liczeniem różańca, gdy słońce raniutko do celi zaglądało — albo gdy dzwony w pobliskim kościele zagrały...

Ten jego trud z jakim się przedzierał nieraz, pilnie pomagając sobie tęgim palcem — niby kijem, przez tajemnicze gąszcza zgłosek niemieckiej gazety, — ta radość dziecinna, gdy mu się nareszcie słowo udało przeczytać i cudownie kłopotliwa ciekawość, coby też to słowo mogło znaczyć.

Ta dumna radość i dziecięcy wstyd dwudziestosiedmioletniego chłopca — gdy deklamował mi „Powrót taty“, „Pawła i Gawła“ i t. d. — wierszyki, które doskonale pamiętał.

Ta jego tęsknota — gdy przez okno wyrzał ku słońcu — tęsknota za wiosną w Harasymówce, za polami — pracą na roli — za matką — za gniazdem bocianiem na chacie!

Ciekawe bardzo szczegóły opowiadał mi z życia bocianów i innych ptaków. — Rozwijał wtedy całe bogactwo swojej obserwacji — wtajemniczał mnie w swoje skryte podpatrywania

gniazd słowików, które mu w miesięczne noce letnie spać nie dawały, — których tyle pysznie naśladował.

...Był u nich na wsi bocian, który pewnej jesieni nie mógł z towarzyszami odlecieć do ciepłych krajów. Miał bowiem jedno skrzydło nadłamane, czy przestrzelone. — Jesien coraz zimniejsza — inne bociany odleciały — zima się już zbliża — a on jest! Chodzi zadumany i bardzo smutny po polach — zerwie się czasem do lotu, — daremnie!

Polecieć nie może... Widzą to ludzie — nic nie mówią — żałują — co robić?

Aż go służba dworska na rozkaz pana zabrała na folwark. On nic... Daje ze sobą wszystko robić, — jak dziecko! Latać nie umie — jest bardzo więc smutny, cichy, potulny — —

Z wielką jednak powagą i dumą przechadzał się między kurami — gęsiami — wszelakim drobiem.

Ze spuszczoneym, długim dzióbem, — dumając nad czemś ciągle, chodził między maleństwem, stawiał wielkie kroki — jak pan!

Nikt mu nic złego nie robił! To byłby bardzo wielki grzech! — Zaglądał często do kuchni — dostawał mięsa — chleba — i wiele innych przysmaków kuchennych.

Zachodził do pokoiów pana, — siadywał na dywanach — kanapce — i dumał!

Tak przeżył całą długą, smutną zimę — —

Wiosenka się budzi, — jeszcze bocianów niema — jeszcze do nich daleko — a on już jest...

Pierwszy zwiastun wiosny...

Opuszcza kuchnie, pokoje, — idzie na podwórze, w pole — na bagna.

Poczyna sobie szukać dawnego pokarmu!
Zawsze tak samo smutny, poważny.

A gdy raz bociany przyleciały — zaklekotał radośnie — —

Zerwał się — i począł latać z jednej stodoły na drugą — z jednej chaty na drugą — ale potem bezsilnie na ziemię opadał!

Próby te coraz częściej powtarzał — aż latać się znowu nauczył!

Nie wiedzieć kiedy — odleciał! — Znikł!

Ale często potem z wdzięczności wracał na wielkie, dworskie podwórze — zaglądał do kuchni i pokojów pana..

W jesieni odleciał daleko...

.
Dmytro Hołodiuk pewnego dnia, wczesnym rankiem, wstał z łóżka! Miał stanąć przed komisją superarbitralną. Ubierał się bardzo powoli i z trudem! — Gdy gotów był, — podał mi rękę na pożegnanie — szeroką, kościstą, silną rękę.

Wsparty na kij — krokiem ciężkim, powolnym — pochylony, zgięty we dwoje, jak ośmdziesięcioletni starzec, szedł ku wyjściu. — Żadne szpitale nie pomogły — kość pacierzowa rozbita — — Wyprostować się nie może — — Bardzo boli — —

Przed kilkoma dniami odwiedził mnie. Przyszedł się ze mną pożegnać. Stawał przed komisją. Puszczono go. Ma iść na baraki inwalidów.

Długo przy mnie siedział — —

Pogadali, podumali ludzie... Baraki inwalidów... kaleki...

Tak tęskni do wsi swojej — do matki... Czy żyje jeszcze? — Od dawna już gdzieś tam musi jego śmierć opłakiwać...

Pożegnał mnie o zmroku.

Gdy wyszedł — stanąłem przy oknie! Chciałem mu uśmiech pożegnania posłać. — Chciałem, by mi uśmiechem odpowiedział. Ale on mnie nie widział... Szedł zgięty, połamany swoim powolnym, ciężkim krokiem — —

Oglądają się za nim ludzie — patrzą z cichym smutkiem... nic nie mówią... żałują... co robić?

— — Dmytro Hołodiuk — —

Ni to ten bociek z nadłamanymi czy przestrelonemi skrzydłami.

Całuję Cię serdecznie

Twój Brat...

Ten trzeci...

(Szkic do noweli).

...I nie było żadnej rady! — Obowiązek wołał! Surowy regulamin wojskowy, nie znający żadnych względów, — nakazywał zostawić chorą żonę, patrzącą bladym wzrokiem w jego twarz — —

A on sam — chory jeszcze — złamany, znużony, po trudach wojennych — po spędzonych kilku miesiącach w polu.

Dopiero powrócił — a już go wołał obowiązek — —

Mielski przechadzał się nerwowo po pustym kawiarnianym lokalu.

Wyraźnie widział Jadwigę, jak załzawionemi oczyma patrzyła w jego smutną twarz i rozpaczliwym głosem pytała:

— Nie pójdziesz Jerzy? — Prawda, że zostaniesz!

Nie odpowiadał. — Gryzł tylko wargi w milczeniu. Bezkresnem miłowaniem ogarnął duszę Jadwigi, która nie mogła zrozumieć całej grozy położenia.

Teraz dopiero rozumiał, jak gorąco go kochała,

Przypomniął mu się pewien moment. W jego mózgu błysła jakaś myśl — rozwidniła się przed nim przestrzeń daleka a mglista — —

— — Orwicz — —

Tak! — Rozumiał wszystko.

Teraz wyraźnie stanęła mu przed oczyma młodzieńcza twarz Orwicza, — jego czyste, błękitne oczy, które w bezmiernem miłowaniu, cichem i tajemnem, patrzyły w Jadwigę.

Teraz jasny błysk świadomości — niby prąd elektryczny, — rozwidnił mózg Mielskiego.

Długie tygodnie dotrzymywał im towarzystwa. Włóczył się za nimi do Wenecyi — i tam wśród cichej tafli wód — tylko niemym zachwytem ogarniał Jadwigę.

Mówił o rzeczach szablonowych — a duszą był przy niej — —

Ona przykuła go do siebie...

Mielski wiedział co się dzieje w duszy Orwicza. Odczuwał tę cichą, samoofiarną miłość młodzieńczą, która mu duszę przepalała na żużle!

— O czem się pan tak zadumał? — usłyszał nagle.

Odwrócił się. — Przed nim stał Orwicz.

— Chciałem się z panem pożegnać, — rzekł Orwicz.

— Chyba chciał pan mnie pożegnać?

— O nie — mówił Orwicz głosem podniesionym. — Jutro rano wymarsz w pole! — Pan naturalnie zostaje tu. W ostatniej chwili zmienione. Proszę, oto rozkaz służbowy.

Drżącą ręką podał mu arkusz papieru.

Mielski oczom własnym nie chciał wierzyć. — Tak — — Zamiast niego — miał iść jutro rano w pole Orwicz.

— Jakże to się stało? — pytał Mielski.

— Nie wiem. Musiano uwzględnić, może że pan chory, żeś pan później odemnie z pola wrócił — i te może okoliczności spowodowały zmianę rozkazu.

Mielskiemu zrobiło się naraz niewypowiedzianie przykro. Nie umiał sobie wytłómaczyć przyczyny tego przykrego uczucia. Coś w rodzaju niesmaku...

— Życzę panu, panie Orwicz, rychłego powrotu! A może mógłbym prosić komendanta, by nie zmieniał rozkazu?

— To wykluczone! — Zresztą jest już 9-ta wieczór Nikogo w biurach niema. — Rozkaz gotowy, — a jutro rano: wymarsz w pole!

Przykre, gniotące uczucie, jakie owładnęło Mielskiego, potęgowało się w nim coraz bardziej.

Wraz z tem, uczuł jakąś żywą sympatyę, przyjacielską życzliwość dla Orwicza.

Wyszli z kawiarni — i błądzili długo przez ulice miasteczka.

— Ale pani Jadwiga cieszyć się będzie, — rzekł naraz Orwicz.

Uczuł niewłaściwość swego powiedzenia. — Zmieszał się — i mówił stłumionym głosem:

— Będzie się pani Jadwiga cieszyć, — bo

pan przecie chory. — Pan doprawdy nie mógł pójść w pole! To dobrze — że się tak stało — —

Szli obok siebie w głuchem milczeniu. — Czasem ktoś powiedział słowo — ktoś poruszył myśl — —

Cisza nocy zapanowała nad światem.

Po długiej włóczędze stanęli przed mieszkaniem Mielskiego.

W tej chwili uczuł Mielski jakiś dziwny, niewytłómaczony ból — —

Uświadomił sobie, jak cierpieć w tej chwili musiał Orwicz.

Starał się wsaczyć w jego duszę — wwiercić się w jego mózg — i odgadywał jego myśli.

— — He, he — — pan Mielski idzie teraz do swojej kochanej żony. Całunkiem gorącym obudzi ją, — będą pieszczoty — — miłowanie — — A o jasnym, wczesnym poranku, — ja pójde w pole — — w śmierć — — a ja także przecie kocham...

Mielski bał się dalej odgadywać myśli Orwicza.

Uczuł naraz niewłaściwą sytuację. — Milczał przecie przez cały czas. — Czemu on nic nie mówił?

— Żegnam pana, panie Orwicz! — Wytrwania, zdrowia, rychłego powrotu.

Bardzo przyjacielskie pożegnanie — i Mielski szybkim krokiem odszedł od Orwicza.

— — — — —

Kiedy Mielski wszedł do pokoju, Jadwiga spała twardym snem.

Nie chciał jej zbudzić.

Cicho jak złodziej wkradł się do drugiego pokoju. Przepęłniło mu duszę uczucie, że nie wolno mu w tym pokoju dziś leżeć. Bólem wykrzywiona twarz Orwicza zajaśniała mu pięknym blaskiem.

Był pewny, że stoi pod oknem.

Odsłonił firankę lekko. Zobaczył Orwicza. Stał na rogu ulicy.

Mielski rzucił się na otomanę w ubraniu. Myśli — chore majaczenia — rozdzierały mu mózg.

Potworne wizye przygniatały go swoją okropnością.

Wśród tych czarnych, brutalnych, bezlitosnych halucynacyi wykwitało jako kwiat lilii niewinne uczucie Orwicza — —

Czytał treść jego nieszczęsnej duszy, która tonęła w chorem, beznadziejnem miłowaniu.

Zmęczony, zasnął twardym snem. — Wczesnym rankiem zbudził się. Chciał iść na dworzec. Była uroczystość pożegnania wyruszających w pole.

Zawahał się, czy Jadwigę zbudzić.

Szatańska zazdrość, egoizm — instynkt samozachowawczy, — — poco mieć spokój żoneczki?

Ale wraz z tem obudził się w nim drugi człowiek.

Wiedział, jak męczyć się będzie Orwicz. — Jawiły się przed nim w pełnej grozie oczy Orwicza, szukające, błędzące...

Widział, jak obłądna rozpacz biła mu z oczu.
Z jaką pustką w sercu i bólem wyjechał
w pola śmierci — —

Nie! Tego nie uczyni...

Silne postanowienie zbudziło się w jego duszy.
Wszedł do pokoju, — zbudził Jadwigę.

— Jadwiś — wstań — pójdziemy na dworzec.

— Ach Boże! — czy masz wszystko przygotowane? — Czemuś wczoraj mnie nie zbudził? —
Gdzieś był? — Zmęczona, niespokojna, pełna
trwogi zasnąłam.

Teraz dopiero jawiła się przed Mielskim rzeczywistość w całej pełni.

Wszak miał dzisiaj iść w pole...

Jadwiga nic nie wie o zmianie, która zaszła.

— Jak jej to powiedzieć?

— Ubierz się prędzej — pójdziemy na dworzec, pożegnać Orwicz.

— Jakto?

— Zmieniono w ostatniej chwili rozkaz. Nie
ja idę, tylko Orwicz.

— Więc on idzie zamiast ciebie?

Zrobiło mu się niewypowiedzianie przykro.

— Hm — tak jest — —

Na twarzy Jadwigi ukazał się cień. — Zerwała się z łóżka, — w pośpiechu zaczęła się ubierać — czuła dziwne zdenerwowanie. — I cóż ją właściwie Orwicz obchodzi? — Przecie ona nie może być odpowiedzialną, że mu się podoba, że jest żoną innego — i że w gruncie rzeczy żadnych wzajemnych uczuć do Orwicza nie żywi... Chyba

trudno siebie o to winić — — A że przypadek działał, że zamiast męża idzie Orwicz, — wobec tego chyba ona także bezsilna! — Starła się usprawiedliwić sama przed sobą.

Kiedy znaleźli się na dworcu, było już bardzo dużo ludzi, mimo wczesnego ranka.

Mielski wmieszał się w gromadę oficerów. — zauważył jednak od pierwszej chwili, że wszyscy dziwnie na niego patrzą.

W innej grupie opodał stojącej, zobaczył Orwicza.

Skłonił się. — Orwicz przyleciał szybko, przywitał się z Jadwigą i Mielskim. Mielski zrozumiał, że jest jego powinnością, zostawić Orwicza na chwilę z Jadwigą.

Odsunął się; — rozpoczął rozmowę z jakimś kolegą i zdawał się nie zwracać uwagi na Orwicza.

Myśl jego jednak ciągle obok tego tematu krążyła — bezustannie analizowała bieg wypadków, — ostatnich godzin.

Orwicz stał tymczasem obok Jadwigi, nieśmiały, drżący, blady.

— — Pani nie zapomni Stacha — — prawda?

— O nie — — pan Orwicz wróci — —

Przeraziła ją bladość jego twarzy.

— Pan Stach musi wrócić — poprawiła.

Na jego twarzy ukazał się promień cichej radości.

Tak chętnie wyznałby teraz wszystko! — Że ją ogromnie, bezpamiętnie kocha. Że przez nią, dla niej — idzie dobrowolnie w śmierć. Że wie,

iż kocha męża. Chciał jej przeto oszczędzić bólu. —
Że — — że — —

Ale nic niemówił. — W głuchem milczeniu,
patrzył w twarz Jadwigi — z uczuciem — że wi-
dzi te umiłowane rysy — po raz ostatni!!

Dano rozkaz do wsiadania do pociągu. — Mu-
zyka zagrała.

Z okna wagonu słał Orwiński ciche spojrzenie
żegnania — —

Na dany znak pociąg ruszył.

Rozległy się okrzyki — wiwaty — pieśń —
Z okien wychylały się rozgorączkowane twarze.

Powoli, tak bardzo powoli ruszał pociąg, —
ak gdyby wiedział, jak ciężko — jak ogromnie
ciężko tym ludziom odchodzić od życzliwych przy-
jaciół i bliskich istot — — na zawsze!

Z okna wychyliła się twarz Orwicza, wykrzy-
wiona nadludzkim bólem — —

Drżącą ręką dał znak Mielskiemu. Mielski
podleciał ku oknu — Orwicz rzucił mały liścik.

Twarcz jego znikła — —

Pociąg ruszył całą siłą pary.

— — — — —
Mielski otworzył list drżącą ręką i zaczął
czytać:

„Kochany panie Mielski!

Wczoraj wieczorem zgłosiłem się dobrowol-
nie u komendanta — na pańskie miejsce, tłumacząc,
że pan jesteś chory — i że jest moim obowiązkiem
pana zastąpić. — Zastrzegłem się, że krok ten nie

jest inspirowany — i że pan o niczem nie wie. — Komendant początkowo opierał się — wkońcu na moje usilne prośby, zmienił rozkaz.

Gdybym nie wrócił — to Matce mojej starej, mówcie — żem myślami był przy niej do ostatniej chwili. — Może pan pomoże biedaczce.

Dla pani Jadwigi dużo serdecznych, ostatnich zdaje się, pozdrowień. — Bądźcie szczęśliwi — moje miłe Państwo.

Orwicz.“

Mielski uczuł ból okropny!

Teraz dopiero zrozumiał ten dziwny wzrok oficerów, jakim go dziś ogarnięto. Więc Orwicz zgłosił się jako ochotnik. — Uczynił to w ostatniej chwili, aby nie można przeciwdziałać!

Uczuł się naraz taki mały — taki maleńki.

Orwicz wyrósł w jego oczach — jakaś aureola go otaczała.

Zaniepokoił go wygląd Jadwigi.

— — — — —
Po dwóch niespełna tygodniach przyszła urzędowa wiadomość:

„Porucznik Stanisław Orwicz trafiony grana-tem — legł na polu chwały.“

— — — — —
Cień wieczny — — cień gniotący — — aż na duszę Jagi — —

Cień wieczny — — cień gniotący — — aż poza koniec smutnych dni żywota — —

Serce matczyne.

W stołicy huk — gwar — echo trąbki. —
Zbierają metale, odpadki żelaza — blachy — mie-
dzie. Państwo potrzebuje tych odpadków — —
Od domu do domu, wbiegają dzieci szkolne — za-
bierają rzeczy — rzucają na wóz — — jada dalej.

W salonie ponurej willi zadumana siedziała
stara kobieta. — Zmarszczki wyryte boleśnie na
czole zdradzały, że kobieta ta męczy się ogromnie
i że ból jej nie jest obcym — —

Ciszę jej przerwał dzwonek.

Nikogo w mieszkaniu nie było — służba po-
szła — sama wstała — otworzyła.

W drzwiach stanął chłopak, skłonił się ni-
sko — i rzekł:

— Zbieramy metale — — odpadki żelaza — —

— Niestety! Niema tego u mnie! — Podczas
pierwszej zbiórki dałam wszystko. — Ale może to...

Wyjęła banknot i chciała go dać chłopcu.

Ale chłopiec nie przyjął. Skłonił się grzecznie
i wyszedł.

Oddała się posępnej zadumie — —

Rok temu, było wesoło w tej willi — — On, Julek jej ulubiony — — dziecko jedyne — —

Sześć lat już mieszkała w stolicy — — Mąż umarł, sprzedawała swoje wsie — i przyjechała do Wiednia. — Chciała tu kształcić zdolności muzyczne Julka — — Dziś rok — —

A oto co się dzisiaj dzieje — —

Pamięta!

Było wtedy wczesne lato. Początek wojny. Parne dni i noce. Przez ulice przewalały się masy ludzi. Z zapalem żegnano idących w bój żołnierzy. Zaczęła się nowa era — —

Pani Łeska przetarła czoło ręką — — Czy to prawda, że wiosna na dworze?

Więc minęła — jesień — zima — i oto zajaśniała wiosna, — jak dawniej — — jak dawniej — — ? — —

Czy to możliwe?

A jego niema — — nie wróci!

Słyszysz wyraźnie głos siedemnastoletniego Julka — głos dziecka:

— Mamo — są polscy żołnierze! — W Krakowie się gromadzą! — Polskę idą odbudowywać! Mamo — ja muszę tam pójść!

Nie pomogły prośby, zakłęcia. — Poszedł — i w kilka tygodni potem — — w pewien rozplakany dzień listopadowy, otrzymała z komendy Legionów telegram:

„Syn Pani — Julian Łeski — padł przy pierwszym szturmie. — Pocięchą dla pani niech będzie, że zginął dla ojczyzny“.

Została odtąd sama! — Zupełnie sama — ze swoim smutkiem tylko.

Z ulicy dochodziło wołanie:

— Żelazo, cynę, blachę — składajcie, — bo ojczyzna tego potrzebuje.

Zerwała się.

Przecie ma tu cynę — ma żołnierzy cynowych, którymi w dzieciństwie bawił się Julek. — A ojczyzna potrzebuje pomocy. — Ona dała już tyle — —

Wstała. — Chodziła od pokoju do pokoju. — Naraz się zawahała. — Stała przed drzwiami pokoiku Juliana.

Zawahała się chwilę. Otworzyła drzwi, — lekko je przymknęła. — Znalazła się znowu w sanktuarium zadumań i smutku. Tu wszystkie umarłe wspomnienia budziły się znowu.

Spojrzała wokoło. — Tam — w kącie — były jego zabawki. — Tyle, tyle cynowych żołnierzy — — Nie pozwolił ich wyrzucić. — Chował je na pamiątkę.

Otworzyła skrzynię — wyjęła żołnierzy — i zaczęła ich ustawiać w porządku.

Tyle ich było. — A miało to dla niej taką głęboką wartość.

Nie da tego! — nie da!

Spojrzała naraz na portret synka w pięknej, stalowej oprawie!

Zdawało się jej, że usta synka się poruszają, wyraźnie słyszała:

— Mamo! — Ten metal zbierają na armaty

i kule — na tych zbrodniarzy, którzy ci synka zabrali. — Daj mamie wszystko, — — niech pomszcza śmierć moją — —

Drżącą ręką zdjęła ramę z portretu i położyła ją obok żołnierzy.

Poszła drżącym krokiem do jego biurka. — Jego kałamarz miedziany, stalowe linie, listowy ciężarek...

Na ziemię padł biały skrawek papieru. Podniosła go. Rysunek przedstawiał rycerza młodego. To rysował on — jej syn! — A na dole data — wymarszu, opuszczenia domu — na zawsze!

Znowu spojrzały na nią oczy synka! I znowu zdawało jej się, że obraz mówi:

— „Matko! Tak chętnie — z takim zapałem poszedłem — — Zginałem przecie dla świętej sprawy — — Nie wahaj się, matko, czy dać te pamiątki — — Ty przecie bez tego będziesz o mnie pamiętać — —“

Ciche szlochanie rozdziera jej piersi.

Ale rozumie słowa umarłych, milczących ust. Drżącymi rękoma zabiera, co jej było tak drogie i umiłowane, — to czem się jej synek bawił i pracował — zbiera to wszystko razem, — całuje każdy drobny przedmiot — przecie jej Julek dotykał się tego — —

Z ulicy dochodzi znowu wołanie:

— Miedzi — cynku — żelaza — — składajcie dla ojczyzny.

Łęska otwiera okno. Woła chłopców. Biegną żwawo. — Są pod drzwiami. — Dzwonią.

Chwila wahania. — Ale oczy synka patrzą tak prosząco.

— Dla świętej sprawy — — mamó — daj — —

Otwiera drzwi. — W drzwiach stoją chłopcy z torbami. Łęska odwraca się — a tylko palcem wskazuje stos miedzi.

Słysz — wyraźnie słysz, jak zabierają do worków — słysz dźwięk — — ale — — — — —
wszak to jej najświętsze pamiątki po synu najdroższym.

Ucichło. — Dziękują. — Wyszli.

Pani Łęska staje w oknie. — Widzi, jak z worka wysypują te rzeczy — — te jej najdroższe pamiątki — te relikwie jej serca — —

I wóz rusza dalej.

— — — — —
W sercu matczynem powstaje naraz jakaś pustka, próżnia — — tak za czemś żal serdecznie, tak żal, tak żal — —

Jacek Rejter

Ostatnie chwile.

(Szkic do noweli).

I.

Żwirski leżał na polu, bez myśli, bez czucia, bez woli. Oczy przestonięte mgłą, nie widziały niczego, na wszystko były ślepe. Tylko huk granatów, świst szrapneli, grzechot karabinów maszynowych, rozpaczne, chaotyczne okrzyki, trąbka do szturm, — w tem coś niepojętego, jakiś niezrozumiały grom, okrzyk, — a potem: cisza.

Żwirski leżał na polu, a zbiele usta, szeptały żarliwie modlitwę: „Zmiłuj się nad nami“.

Ten szept szedł ciągle z chorych, spiekłych gorączką ust jego. Naraz czuł, że go podnoszą jakieś ręce, kładą go na wóz, w usta wsączają mu napój ożywczy.

Powoli mgła przesłaniająca oczy — znikła!

Żwirski spojrział słabym wzrokiem.

Leżał na wozie! Obok niego tylu rannych. Słyszał wyraźnie jęki. Łkało w nim serce, że im pomóc nie może. Sam bólu nie czuł, mimo że kula tkwiła mu w piersi. Tylko ból swoich braci czuł.

Potem znowu w oczach stało mu się ciemno —

zamajaczyło mu się widmo z białą kosą — i stracił przytomność.

Kiedy go ocucono, leżał w wagonie kolejowym.

Teraz już wyraźnie uświadomił sobie położenie.

Zamajaczyła mu się walka. Pamięta...

Leżał w rowie i strzelał. Celował z zimną krwią trafnie. Padali wrogowie. Naraz uczuł jakieś klucie w piersiach. Nie zastanawiał się nad tem. Strzelał dalej. W tem trąbka woła do szturm.

Wstaje. Czuje ból, taki ckropny ból w piersiach. Zrobił kilka kroków i padł. — Co się potem stało, — nie pamięta!

Teraz leżał w wagonie kolejowym i myślał nad sobą. Pojedzie do szpitala. Tam go uratują. — Będzie żyć!!! Musi!!

Radowała się w nim dusza, przeczuciem dni, które nadejdą. Wróci do zdrowia, — pójdzie znowu w pole i zemści się na wrogu.

Drżącą ręką, odsłonił piersi i ucałował krzyż. Ust nie mógł oderwać. Błada twarz rozpromieniła się cichem uczuciem szczęścia.

Z krzyżykiem na ustach, zasnął cichym snem.

II.

— Czy panu lepiej? — Jak się pan dziś czuje?

— Gorączka ustała?

Żwirski patrzył w Mirecką nieustannie. Nie mógł sobie wytłómaczyć powodu. Ale oczu nie mógł oderwać od niej. Jakby jakaś siła go

przymkła. Mirecka zdawała się to spostrzegać! Przez twarz jej przeszedł cień lęku. Zatrwożona powiedziała jeszcze kilka słów — i wyszła.

Żwirski chciał myśleć. Gorączka jednak przepalała mu mózg. Majaczał...

Nie mógł sobie jasno skryształizować uczucia, które go opanowało. Czemu go ona obchodzi? Czemu na inne kobiety z „Czerwonego Krzyża“ nie zwraca uwagi?

Czemu?

Myśli kłębiły mu się w chaotycznej gorączce. Żeby to mózg przytomnie sobie uświadomić wszystko! Czuł tylko żar w mózgu — piersiach — sercu. — Och — ten ból w piersiach.

Raz po raz, jak gdyby kto ostrą szpilką kłuł.

A w chwili przytomności, majaczy się ona. Męka bez granic. Chciałby zamknąć oczy na zawsze.

Z sąsiedniego łóżka idzie szlochanie pacierza: „Zmiłuj się nad nami“.

Przez mózg przechodzi świetny prąd świadomości. Przypomina sobie, jak w rowie powtarzał modlitwę. I naraz odzyskuje świadomość.

Serce mu raźniej bije! Zrozumiał! — Nie! Zna już przyczynę lęku! To ona — Hala — jego Hala!

Naraz czuje żar w mózgu.

Zaczyna krzyczeć przeraźliwym, nieprzytomnym głosem: Hala — Hala!

W drzwiach zjawia się przełęczona Mirecka.

Zbliża się ku niemu... z uśmiechniętą dobrą twarzą.

— Julku drogi — to ja — to ja, twoja Hala!

— No ja? — szepce Żwirski jakimś smutnym, dziecinnym, bezradnym głosem.

Czuje naraz, jej miękką dłoń, na rozpalonem czole.

— Tak, tak zawsze, — szepce Żwirski.

Szybkim pędem przebiegają mu w mózgu zdarzenia ostatnich lat. Kochał ją, kochał szalenie, życie jej swoje chciał oddać. Długo trwało to miłowanie. Aż razu pewnego go opuściła! Podeptał swe ideały. Rozpił się i w bagnie rozpusty szukał zapomnienia. Do wszystkiego gnała go tęsknota za nią. Aż nareszcie wybuchła wojna! Święta wojna z zbrodniczym caratem. Zaciągnął się ochotnie w szeregi Legionów.

Wszystko sobie teraz jasno uświadomił.

Zrozumiał, że jest w Krakowie — w szpitalu!

Tu mieszka Mirecka. Rozumie już. Wstąpiła do „Czerwonego Krzyża“.

Cudowne spotkanie! Dobrze mu! Czuje jej dłoń na czole! Jest już przytomny. Zdaje mu się, że osiągnął niepojęte szczęście. Ale ten ból straszny, ten okropny ból w piersiach.

Mówił mu lekarz, by dał się operować, a po wyciągnięciu kuli, będzie żył! żył!

Żwirski drży cały! Ale dobrze mu! Przecie jej dłoń spoczywa na jego czole! Usta belkocą cichym szeptem: Halo — Halo!!

A ręka sięga po krzyżyk czarniutki, po krzyżyk, który mu ona dała.

Ale teraz chce jej wszystko powiedzieć.

Chce jej mówić o męce długich lat. Ale w piersiach ból! Dusi się! — Męka bez granic! Tylko usta szepcą jej imię!

Mirecka lęka się o Żwirskiego. Przecież jej mówili lekarze, że godziny jego są policzone!

Żwirski nie może złapać oddechu! — Rzuca się konwulsyjnie! — Naraz twarz mu jaśnieje, bladym uśmiechem szczęścia. — Usta blade, trupie zabarwiają się, przybierają życie. — Na ustach swoich uczuł pocałunek purpurowych jej ust.

Jeszcze jeden szept: „Halo“.

A potem brak oddechu — spazmatyczny skurcz rąk — piana w ustach — i bełkot niewyraźny i szept jakiś cichy.

A potem blady trup, z cichutkim uśmiechem szczęścia na twarzy.

Krwawa idylla.

Po krwawej bitwie dano znak spoczynku. — Trwał on kilka dni. Przygotowywano się do nowej bitwy, do nowych, krwawych zmagai, które miały całą kampanię górską rozstrzygnąć.

Porucznik Strzetelski zerwał się wczesnym rankiem z inmprowizowanego łoża. — Jakies dziwne sny przygniatały go bolesnym ciężarem — odbierały mu spokój.

Ubrał się szybko i wyszedł na ulicę nieznanego, świezo okupowanego miasteczka.

Posterunków jeszcze nie ścignięto, — na placach, mostach, w wąskich ulicach spostrzedz można było żołnierzy z bronią w ręku — ale zmrok nie pozwalał rozróżniać barw mundurów. Wyglądali wszyscy, jak słupy — a jedynie można było rozeznać błysk ich broni.

Raz po raz zarysowywały się kontury drzew ogołoconych z liści i szarych szeregow domostw z pozamykanemi okienicami.

Ciemność otaczała jeszcze wieże kościelne, i rozplywała się na wschodzie.

Porucznik Strzetelski nie zdawał sobie sprawy, dokąd idzie — kogo szuka — i czego

pragnie. — Błąkał się ulicami miasta — aż znalazł się na dworcu.

Świeżo uporządkowano linie kolejowe. — Mógł zatem pojechać. — Naraz rozwidniło mu się w mózgu. — Przypomniął sobie wioskę sąsiednią.

I naraz uczuł dziwny ból.

„Jeszcze mi się w oczach palą
twoje włosy, złote włosy
jaśniejące cudną falą.“

— Cóż to? — Erotyzmy — ?

Był zły na siebie.

Kiedy wsiadł do pociągu, opanowało go dziwne uczucie, którego w żaden sposób nie mógł sobie wytłumaczyć.

W zmroku poranku majaczyło mu się jedynie jako wspomnienie, które miewa się czasami — w chwilach bardzo złych. — Siedząc w wagonie, miał uczucie, jak gdyby był w przedziale, który dopiero co opuścili tajemniczy podróżni, jak gdyby wspomnienie tych, którzy przedział opuścili, — znajdowało się jeszcze pomiędzy ścianami i ginęło dopiero w świetle dziennem.

Bezradnie patrzył w okno. Ale nie widział nic więcej, jak tylko nieskończoną liczbę pociągów, a obok mokrych szyn nieporuszałne twarze posterunków, milczących i cichych.

Powoli zapełniał się przedział. — Strzetelski patrzy obłędnie wokoło. Żołnierze oparli ręce na karabinach i opuścili głowy. Rozchodzi się od nich odor przejmujący. — Spodnie i buty oblepione grubym pokładem gliny przyschniętej, — tak, że

nogi ich wyglądają jak słupy wyciągnięte z bagna i na powietrzu wysuszone. Płaszcz szerokie, nadające całej ich postaci nieforemne kształty, twarde są od przyschniętego do nich brudu i wilgoci. — Twarze szarym pyłem pokryte, — oczy zaczerwienione od zmęczenia.

Wyszli co dopiero z okopów. — Zapach, który od nich wieje, przypomina Strzetelskiemu odurzające powietrze, wiejące jesienią od uprawnej ziemi. Przejęci całkiem tym zapachem ziemi, mają znowu zagrzebać się w ziemi, — ręce ich, które w ziemi ciągle grzebią, są chropowate jak korzenie. Skupiają wszelkie ludzkie uczucia w tem bezgranicznem poświęceniu, — pozwalają się oblepiać rodzinną ziemią. Idei obrony nie da się niczem innem piękniej przedstawić. Strzetelski siedzi w wagonie, a korowód smutnych i żałosnych myśli rozsadza mu mózg i serce napęlnia szlochaniem.

Ci co powrócą do domów, myśleć będą o swych towarzyszach, kiedy ponad grobami łany dojrzewać będą i powieje znów od lasów orzeźwiający powietrze.

Nareszcie pociąg stanął.

Strzetelski musiał się przeciskać przez tłum kobiet wiejskich z koszami, kupców i żołnierzy.

Dzień pochmurny i ciemny, ale te barwne mundury, te błyszczące bronie, oczy pełne ognia, zdawały się rozjaśniać go.

Ale pośród całej wrzawy, ogarnęło Strzetelskiego podobne uczucie, jakiego doznawał w wa-

gonie. W powietrzu uczuł coś przygniatającego i odurzającego, jak gdyby zapach kwiatów, — gnijących już w kaplicy.

Włóczył się po wiosce. Szukał. Czego to właściwie szukał? — Nie mógł sobie jasno uświa-

z daleka dolatywał go huk armat. Dawał się słyszeć jako jakiś oddalony pomruk.

Na niebie coraz to cięższe chmury przygniatały powietrze.

Strzetelski drgnął naraz.

W oknie ujrzał Stefę. — Z uśmiechniętą twarzą patrzyła w Strzetelskiego.

— Panno Stefo!

Serce rozradowało się w nim. Uświadomił sobie — że przecie do niej tu przyjechał. Tęsknota za nią przygnała go tu.

Teraz błyskawicznie rozwidnił się mu korowód wypadków.

Po kilkudniowych krwawych walkach — cudne zwycięstwo — opanowanie wioski — odpoczynek — poznanie Stefy — ta pierwsza cudna spowiedź dusz — a potem w kilka godzin — wymarsz do sąsiedniego miasteczka.

I jakież to szczęście, że tam zarządzono kilkudniowy odpoczynek.

Jak to dobrze się złożyło, — że mógł tu wpaść i spojrzeć w te jasne, cudne, słoneczne oczy Stefy. — Słuchać chciał jej głosu, co kojącą falą kładł się na jego chorą duszę.

Zanim się rozejrzał — stała przy nim Stefa.

— Jakże się memu wojakowi powodzi? — pytała troskliwie.

Strzetelskiego ogarnął smutek. — I żal, że będzie musiał opuścić tę cudną dziewczynę.

— Skąd ten smutek? — zapytała, gdy chmura okryła twarz Strzetelskiego.

— To, — że panna Stefa będzie daleko. — Że:
„Ty pójdiesz górą, Ty pójdiesz górą,
a ja doliną“

nucił Strzetelski ludową piosenkę łzawym głosem.

— Nie! nie! — Ja pana nie zostawię, nie opuszczę — —

Zaśmiała się naraz swawolnie.

— Jakam ja dziwna! — Wczoraj poznałam rycerza, a dziś mu już miłość przysięgam.

Nastało kłopotliwe, ciężące milczenie.

I oddalony pomruk huków armatnich przedarł powietrze.

— Jakże to piękne! — Szkoda, że ja nie mogę walczyć!

— Dziecko! Wielkie dziecko — — mówił Strzetelski.

Podawała mu malutką, aksamitną dłoń.

— Przeprosić.

Chwycił rączkę i ucałował ją gorąco. Stanęli tuż obok siebie — a oczy ich wżarły się w wzajemnym zachwycie — i oddaniu. — Rzeczywistość zatarła się przed nimi, znikła im z oczu, stała się czemś dalekiem, oderwanem, przykrem.

Stefa zapomniała, że żyje w wiosce, którą co

dopiero wróg opuścił i do której lada chwila wrócić może.

Strzetelski zapomniał, że stoi na posterunku, że powinien już opuścić wioskę, bo kto wie, jakie wypadki się rozegrały w pobliżu.

Nie wiedział o tem — a raczej chciał nie wiedzieć, że gotów w jutrzejszej bitwie zginąć.

Zapanowało milczenie.

— Może pan wejdzie? — Proszę! — Przygotuję herbatę. Mam znakomity koniak.

Machinalnie szedł za nią. — Po chwili znaleźli się w sympatycznym pokoiku. — Stefa szybko wzięła się do robienia herbaty. Podczas tej czynności opowiadała wesołe epizody z chwil, jakie przeżyła podczas inwazyi moskiewskiej.

Raz po raz, pośród opowiadania, spoglądała na Strzetelskiego a wzrok jego ogromnie ją niepokoił.

Taki był błysk dziwny w jego oczach. — Lękała się tego wejrzenia. — Stefa położyła napój na stole i rzekła:

— A teraz pan Kazimierz grzecznie bierze filiżankę i pije.

— A panna Stefa opowie bajkę! — Koniecznie jakąś bajkę. — Bo rzeczywistość taka zła. Taka brutalna. Więc bajki mów. — Tak — — jakieś bajki dziecinne, niewinne. Praw mi baśnie tajemne. Ja będę słuchał — tak pilnie, tak chętnie będę słuchał.

I Stefa prawila mu bajki. — O pазiu, o królewnie, o miłości, o straceniu — — Tyle bajek, tyle smutku.

Zapomnieli o smutnej rzeczywistości i dusze unieśli w błękitne krainy snów.

— — — — —

I tak mijały dni. — Jeszcze dwa tygodnie mieli zostać.

Strzetelski korzystał z każdej wolnej chwili, aby się przedostać do Stefy.

Z dniem każdym uczucie rosło w jego duszy. Uczucie sympatii, przyjaźni, oddania, zmieniło się potem w bezpamiętną miłość.

Kiedy sobie to jasno uświadomił, — ogarnęła go nieopisana trwoga.

Wiedział, że Stefa jego być nie może, że dziś jutro, on znowu pójdzie w krwawy wir walki.

A Stefa zapomni o tym romantycznym epizodzie.

Ale wnet zapierał sam gorąco.

Nie — — Stefa nie zapomni!

Zamigotały przed nim jej oczy, jak się gorącą miłością wpatrywały w niego i pytały, czego mu potrzeba?

Ujrzał wyraźnie Stefę, jak przy żegnaniu oczy operlały się łzami a usta drgały w cichym smutku.

Jasno uświadomił sobie, — że Stefa żywi dla niego uczucie silnej miłości.

Skąd ta miłość ku nim przyszła, — jak ich naraz opanowała, — tego nie umiał sobie wytłumaczyć.

Przychodził do Stefy z duszą pełną łez, a ona starała się go roz pogodzić i prawila mu bajki o jasnych, dobrych rzeczach.

Czuł tylko wyraźnie, że trudno mu będzie zostawić Stefę — i tę wioskę pełną słońca i pójść znowu w krwawe boje, z których już niema powrotu.

Strzetelski przyjeżdżał stale automobilem do Stefy. — Wyczekiwała go w oknie w gorączce tęsknoty, a kiedy usłyszała echo trąbki automobylowej, — radość jej nie miała granic.

Wtedy składała ręce i cieszyła się jak dziecko. — Skakała swawolnie, nuciła wesołe piosenki i szeptała Kazimierzowi:

— Stefa się cieszy. Ogromnie się cieszy panem Kazimierzem.

Siadali obok siebie zawsze z tym cichym smutkiem, bez żadnych pożądań, bez żadnych zmysłowych myśli. — Było w tym stosunku coś idyllicznego — było czyste miłowanie dusz i serc — oddanie wzajemne myśli swych i pragnień.

Strzetelski cierpiał na myśl, że jeszcze dzień, jeszcze dwa, — potrwa ta idylla — — a on dalej będzie musiał iść — w krwawe walki i pola śmierci.

Męka spotęgowała się w nim, objęła całą jego istotę. — Ani uczuł, jak stał się niewolnikiem, bezsilnym, zakutym w obrozę miłości, — gorącej, bezpamiętnej.

Tracił przy Stefie swoją męskość, — hart swojej woli, siły — a niby małe dziecko wpatrywał się w jej oczy, a każde jej słowo było dla niego rozkazem.

Alarm. — Żołnierze pozrywali się nagle, powstał gwar, krzyk, chaos nieopisany. Na spienionym koniu przyleciał adjutant z rozkazami. — Z daleka słysząc już było huk armat i grzechot karabinów maszynowych.

Strzetelskiego zbudził ten krzyk.

— Co się stało?

— Nieprzyjaciół zajął wieś N.

Strzetelskiemu w oczach pociemniało. — Czuł, że słabnie, ręce mu drżały, nogi pod nim chwiać się poczęły, oparł się o drzewo — i przeraźliwym głosem pytał:

— Zajęli? — Kiedy? — Jak to się stało?

— Nagłym szturmem. W nocy. Cały batalion był skryty w lesie.

Wśród potwornych wizyi, jakie bolesnym ciężarem przygniatały mózg Strzetelskiego — widniał obraz Stefy, jak przestraszonymi oczyma patrzy na wkraczających nieprzyjaciół, — jak nie-ludzkim, rozpaczliwym głosem błaga pomocy.

Widział wioskę w płomieniach; — ból konwulsyjny nim wstrząsnął.

Padł rozkaz. — Gotowano się do walki, — do odparcia wroga.

— Za wszelką cenę musimy ich wyprzeć z tego stanowiska.

Strzetelski uczył się dziwnie chorym, złamanym. Czarne myśli snuły się posępnym korowodem w jego mózgu.

Dano znak wymarszu.

Reflektory oświetlały okolicę. — Naraz padł rozkaz: rozwinąć się w lesie.

Rozpoczęła się walka uciążliwa. — W Strzetelskim naraz krew zagrała.

Żeby już tylko do szturm! Żeby nie leżeć w tem okrutnem napięciu nerwów — i słuchać tego przeraźliwego koncertu dział.

Trąbka do szturm — —

Zwał cielsk — krzyk — wir — — postęk ziemi — świst kul.

Ciemno w oczach — — Jezus Marya — —

Zamęt. — Wrogowie rozpierzchają się. — Chaos. Tylko jęki konających rozdzierają powietrze.

Strzetelski leci ze swoim oddziałem przez wieś. — Wyraźnie zarysowuje mu się w krwawej mgle dom Stefy.

Już stanął. Kazał zatrzymać się oddziałowi. Sam zbliża się ku domowi. Przeraża go cisza.

Wchodzi w ciemny przedsionek.

Słyszy naraz głos jakiś rozdzierający. — Dochodzi go z pokoju.

Pot zimny go oblewa. — To Stefa.

Dzikiem, żelaznem uderzeniem rąk, — wywalił drzwi mieszkania. Oczom jego przedstawił się widok straszny.

Stefa wiała się w objęciach oficera kozackiego, który z dziką brutalnością starał się ją osłabić i skrzepować.

Kiedy w drzwiach ukazał się Strzetelski, oder-

wał się kozak od Stefy i zanim Strzetelski zdołał się rozejrzeć, — wystrzelił z browningu.

Strzetelski jęknął głucho i padł na ziemię nieżywy.

Oddział Strzetelskiego, zaniepokojony jego nieobecnością, wysłał plutonowego.

Kiedy zorientowano się — chwycono kozaka i wprowadzono go na stracenie.

W mieszkaniu została Stefa. Zanim zdołała sobie uprzytomnić, co zaszło, — minęła długa chwila.

Jakiś chaos potwornych myśli i wizyi zapełniał jej głowę. Nie umiała sobie jasno skryształizować, co się z nią dzieje.

Czuła tylko jakiś żrący ogień w mózgu.

Naraz rozwidniło się w jej duszy. Ujrzała trupa Strzetelskiego. — Leżał z skrwawioną głową, spokojnie, z jakimś niezagastym błyskiem w oczach.

Usiadła przy trupie, wzięła jego ręce, uznajone trudem walk i całowała je, — głaskała włosy trupa — — tuliła się twarzą do zimnej twarzy i szeptała:

— Kazimierzu — mój drogi Kazimierzu, — —

Bezgraniczna rozpacz ją ogarnęła. — Ugięła się pod ciężarem męki.

Ból zmieniał się w obłąd. — Traciła świadomość myśli.

Tylko trupa widziała — — trupa ukochanego. W tej masie ciała, — było zamknięte całe jej życie.

Wybuchła naraz długim, obłąkanym śmiechem.

I znowu tuliła się do trupa — całowała jego oczy, usta — — i nuciła jakieś dziwne piosenki.

Rozplotła włosy, — głaskała zwojami włosów swoich trupa.

Naraz zerwała się. Zaczęła rękami rozrywać ciało — — krzyczała:

— Serce wydrzyjcie!

Ból opętał ją. — Wybiegła na próg. — Chłód nocy ją orzeźwił. Trwało to chwilę. Znowu rozpacz ją ogarnęła. — Zaczęła drzeć szaty na sobie.

Oczy wyszły jej w oblędzie. — Gorzały w szale.

Zaczęła krzyczeć, płakać, — załamała ręce i kwiliła jak dziecko.

Już sobie jasno niczego nie uświadamiała. Niczego już nie rozumiała. Tylko bolesny ciężar w piersi. Tylko wir i ogień w mózgu. — Tylko usta szepczą niezrozumiałe słowa. W oblędzie patrzy wokoło.

— — — — —

Przed nią czarna noc. — Gdzieś wyje pies przed opuszczoną chatą. — Słysząc oddalony, głuchy pomruk huków armatnich.

Na progu stoi Stefa. — Przed nią głucha, ciemna, cmentarna noc.

Wielkie zwycięstwo.

Ćwikliński, stary, szanowany publicysta, którego wytrawne pióro zyskało mu zwolenników, siedział dziś przy biurku dziennikarskiem i absolutnie nie mógł pisać.

Przyczyny nie umiał sobie wytłómaczyć. Miał przecie dziś tyle tematu. — Przecież takie wielkie zwycięstwo!

Wreszcie ożywia się. Nakłada cwikier i pisze artykuł.

„Nasza waleczna, bohaterska armia dokonała czynu wielkiego. Pobity wróg w rozsypce się cofa. Żołnierze nasi w krwawym trudzie — —“

Urywa. — Odkłada ćwiartkę papieru. Nie może pisać.

— A cóż to panu? } — panie Ćwikliński, — pyta uprzejmie wydawca dziennika.

— Nic. — Ot, jakieś dziwne przeczucie. My, starzy — ot nasz zwyczaj.

— Nadzwyczajne wydanie trzeba będzie zarządzić. Proszę wydać w tej mierze odpowiednie dyspozycje, — mówi wydawca.

— A tak! Słusznie! Przecie to takie wielkie zwycięstwo! — Dobrze! — Zajmę się.

Poszedł do zecerów. — Złóżcie panowie szybko. A ilość niewolników wielkimi literami. Nagłówkek dajcie: Wielkie, decydujące zwycięstwo.

Ćwikliński siadł znowu do pisania artykułu.

Cóż to? — Za dwie godziny musi oddać numer do cenzury.

Pisać nie może. Ciągłe widzi przed sobą swego Władka.

Jego synek, jedyna jego pociecha, jego gorące kochanie!

Władek! — W nim widział spuściznę swoich myśli. To, czego on w życiu nie dokonał, to miał dokonać syn jego.

Ćwikliński był kiedyś wielkim poetą. Dzieła jego przemawiały do pokolenia, budziły pragnienia, wzloty, myśli jasne — wielkie!

Ale życie przeszło po nim brutalnie, zdeptało jego porywy.

Dla twardych potrzeb życia, zmuszony był Ćwikliński poświęcić się dziennikarstwu, porzucić zawód literacki.

Trzeba było Władka kształcić; — żona była chorą — — tak — — tak — — nowożytny spętany Prometej.

Ale pocieszał się, że czego on nie mógł wypowiedzieć, to z podwójną siłą objawi światu on, — syn jego ukochany!

Ale kiedy nad światem rozżagwiła się krwawa wojna, kiedy naród polski do czynu orężnego się

porwał, wtedy jego Władek znalazł się w pierwszych szeregach.

Pamięta, jak dał mu błogosławieństwo na drogę; pamięta również ten głuchy szept duszy, mówiący o tem, że nie ujrzy więcej ukochanego swego dziecka.

— Panie redaktorze! — Już skład gotowy!

— Odbić!

I znowu snuje się korowód myśli.

Naraz w drzwiach staje listonosz.

— Redaktor Ćwikliński? — Jest?

— Jestem.

— Proszę.

Ćwiklińskiemu drżą ręce. Telegram z komendy Legionów.

Przeczytał. W oczach mu pociemniało. Padł na fotel.

„Syn pański zginął na polu chwały i brał chlubny udział w walce, która przysporzyła nam wielkie, niebywałe zwycięstwo.“

— Nadzwyczajne wydanie! Ogromne zwycięstwo. 100.000 jeńców — — rozległy się za oknem krzyki kolporterów.

— Zwycięstwo! — Zwycięstwo — — nadzwyczajne wydanie — —

— — — — —
Skulony w fotelu siedzi stary Ćwikliński, wpatrzony w telegram przynoszący mu wieść o śmierci jego ukochanego, jedyne go syna.

Zdaje mu się, że z tą chwilą zamiera przed

nim wszystko. Ma uczucie, jak gdyby mu ktoś płuca wyjął, a on oddychać nie może.

Taka próżnia, — taka ogromna próżnia — —

A za oknami rozlega się przeraźliwy krzyk kolporterów.

— Nadzwyczajne wydanie! — Wielkie zwycięstwo.

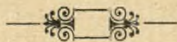


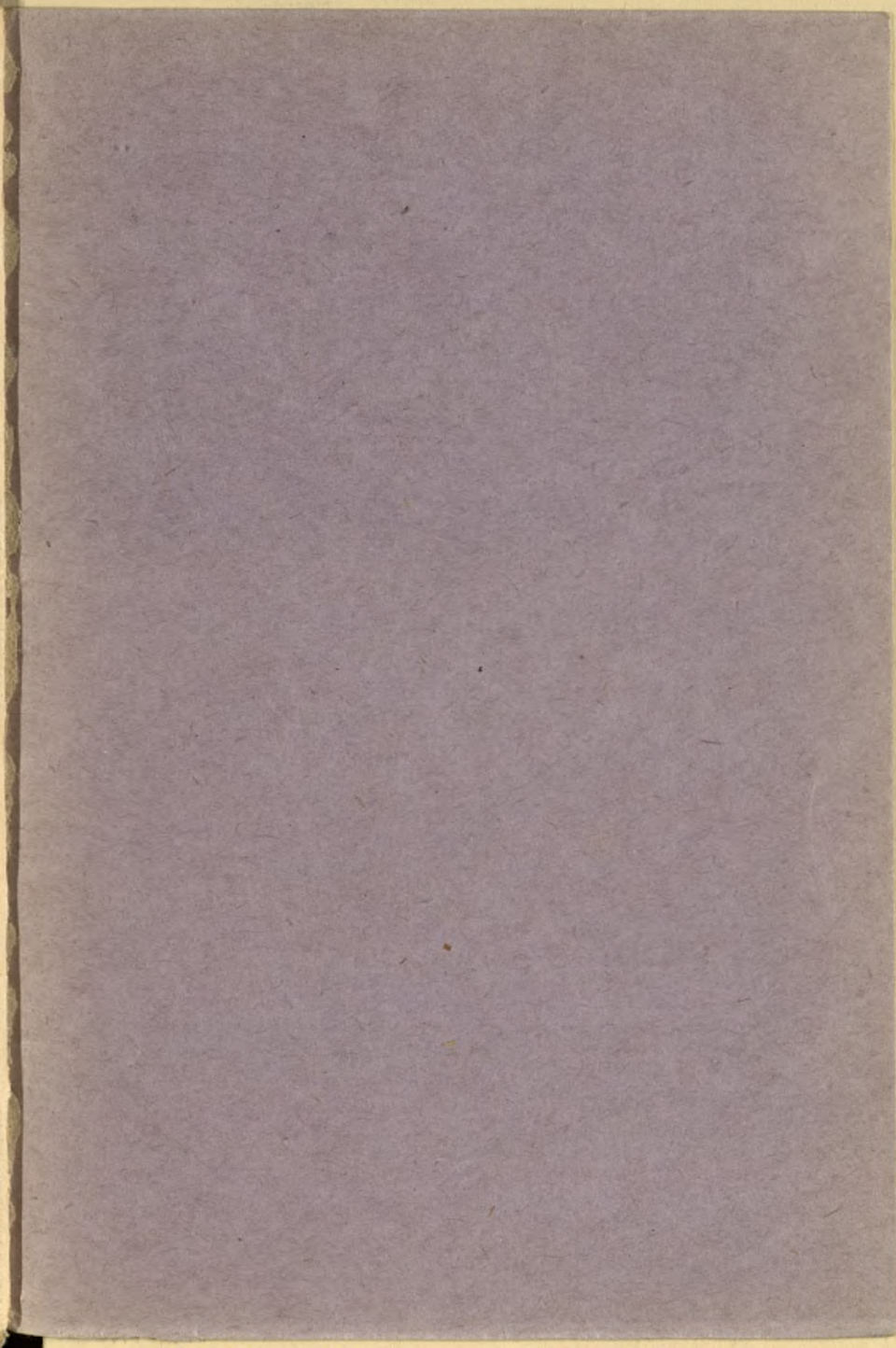
TREŚĆ:

	Str.
1. Z pamiętnika żołnierza wielkiej wojny. . .	3

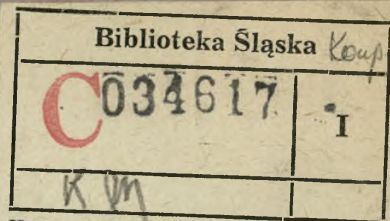
NOWELE i SZKICE.

2. Śnieg.	43
3. Z cichych tragedyi.	48
4. List z celi szpitalnej.	52
5. Ten trzeci...	61
6. Serce matczyne.	70
7. Ostatnie chwile.	75
8. Krwawa idylla	80
9. Wielkie zwycięstwo.	92





Księgarnia „STEC”



Kzg 1 2857/67 100 000

ma na składzie:

Wł. Sulima Popiel, **W siódlach Dyabła**, powieść. 3 K, w eleg. oprawie płóc. 4 K.

— **Krwia i łzy**, szkic powieściowy z ostatniej doby Legionów polskich, w ozdobnej okładce ilustr. 1 K 20 h.

Roman Hernicz, **Stach Legionista**, opowieść z dni ostatnich. Cena 60 h.

— **Z pamiętnika żołnierza**. Cena 1 K.

Adam Stodor, **Sire czorty**, nowela wierszem. Cena 50 h.

Wł. Jeziorski, **Śpiewnik naradowy**, wydanie większe w 2 częściach: część I. Nuty część II. Tekst. 2 K 60 h.

— **Śpiewnik naradowy**, wydanie mniejsze, tylko tekst — 40 h.

— **Śpiewnik żołnierski**, z nutami — 50 h.

L. Kronenberg, **Śpiewki żołnierzy polskich** 30 h.

Do Boju! Pieśni patryotyczne, naradowe i żołnierskie — 20 h.

Śpiewnik polski, zbiór pieśni naradowych, ludowych towarzyskich i miłosnych — 50 h.

Mapa terenu wojny Austrii i Niemiec z Rosyą, w 4 kolorach, format 80×63, — 1 K 50 h.

Ta sama mapa w kształcie podw. korespondentki 20 h.

Mapa ziem polskich, część południowa, w 5 kolorach, format 112×78 cm, podaje i mniejsze wioski, cena 2 K 50 h.

Kermel-Kotas, **Samouczek języka niemieckiego**, w 5 zeszytach 2 K 50 h.

Rozmówki polsko-niemieckie, czyli jak można porozumieć się z Niemcem, nawet bez znajomości języka niemieckiego. 60 h.

Klus, **Słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski** — 3 K.

Łukaszewski-Mosbach, **Duży słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski** — 7 K 80 h.

Samouczek języka czeskiego. Powiastki, Gramatyka, Nowele i Rozmówki — 3 K.

Do pamiętnika. Zbiór najpiękniejszych wierszy i zdań. 1 K 20 h.

W albumie miłości i przyjaźni. Cena 60 h.

Samouczki techniczne. Nr. 1. Telegraf bez drutu 30 h. Nr. 2.

Induktor 20 h. Nr. 3. Akumulatory 25 h. Nr. 4. Aparat fotograficzny 25 h. Nr. 5. Jak się fotografuje? 25. h. Nr. 6. Aparat telegraficzny Morse'a 20 h. Nr. 7. Telefon domowy 30 h.

Nr. 8. Dymamomachina do wytwarzania elektryczności 20 h.

Nr. 15. Ogniwa elektryczne 20 h. Nr. 16 motory elektryczne

20 h. Nr. 17. Budowa latawców 40 h.